

BIBLIOTEKA
PW
SP.
KRAKÓW

795



138404

L. 205

L. 77
II.



KSIAŻNICA M. ARCTA
WYCHOWANIE

JÓZEFA GAŻYŃSKA

L. 71
II.

OBRAZY I MYŚLI

Z PRAKTYKI WYCHOWAWCY



WYDAWNICTWO M. ARCTA w WARSZAWIE

142
UP - Kraków BG



1050154597



37

795



Braki i luki w kształceniu przedszkolnym.

Znaczenie wychowania przedszkolnego nie doceniane jest wciąż jeszcze. Wielu utożsamia freblanki, ochroniarki z bardzo rozumnymi, zacnymi nianiami, dbającymi o to, żeby dziecko spędziło czas przyjemnie, nie dokuczając bliźnim i nie zrobiwszy sobie szkody na ciele i duszy. Ogół, miast wychowania przedszkolnego, zna inny termin: „przygotowanie do szkoły“, „do egzaminu“, które polega na wtłoczeniu w młody umysł pewnej, bardzo niewielkiej, przynajmniej, ilości wiedzy. Dziecko odpowiadało na egzaminie dobrze, umie z tym tyle, ile odeń żądano—cóż się jednak okazuje? Trudniej mu idzie nauka, niż niejednemu koledze, który zdał z ledwością.

Cóż za przyczyna? Owi koledzy odebrali racjonalne wychowanie przedszkolne. Na czym ono polega? Na wszechstronnym rozwinięciu młodej jaźni, na wyrobieniu aparatu mózgowego, upodatkowaniu go do przyjmowania wiedzy, wdrożeniu w pracę, na zaszczepieniu pewnej sumy pożytecznych nałogów. Uczeń, przygotowany tylko do egzaminu, zaasymilował daną ilość wiadomości, koledzy jego usprawnili się, prócz tego, do dalszej pracy.

Wychowanie przedszkolne, które kładzie mocny fundament pod dalszą naukę, porusza właściwie wszystkie gałęzie wiedzy, rozwija wszystkie strony człowieka, z czasem będzie coraz i coraz więcej doceniane w coraz bardziej uświadomionym społeczeństwie, gdyż ono to właśnie nadaje pierwszy kształt mgławicy, z której ma powstać człowiek. I dziwić się będą wnukowie nasi, że powierzaliśmy dzieci niekiedy rękóm niepowołanym.

Dawniej, gdy nie było jeszcze tylu książek pedagogicznych, tylu kursów freblowskich, ochroniarskich, wychowawczyń starały się zdobyć jak najwięcej wiedzy—

dziś spory ich procent uważa poznanie metodyki, dydaktyki za remedium na wszystko.

Zajęcia podobnych pedagogów to szczyt szablonu i bezduszości; nie posiadają nieraz np. dosyć sprytu na to, aby opuszczać znane dzieciom tematy: mówią o owieczkach, wyrobie masła mieszkańcom małego miasteczka, którzy to wszystko znają... no i dyskredytuje się nauczanie przedszkolne w oczach ogółu. Powtarzają dosłownie wykute na kursach pogadanki, zakres bowiem ich wiedzy w danym przedmiocie nie przekracza granic owych wzorów i... narzekają potym na brak zainteresowania wychowanków, ich małą inteligencję, ospałość, lenistwo. A przecież tylko nauczyciel, dużo wiedzący na temat, który omawia, prowadzi wykład swobodnie, potrafi zainteresować dźwiatwę, no i... jest bardziej przygotowany na tyle jej i tak poważnych, głębokich, zupełnie niespodzianych uwag i zapytań.

Niektóre znów wychowawczynie studjują coraz nowe zbiorki pogadanek, przypuszczając, że już wszystko zrobiły, a przecież zdobywają tylko w ten sposób wspaniałe wzory, podług których dopiero układa się lekcje własnego pomysłu ze stale powiększanych zapasów wiedzy.

Im kto jest bardziej, głębiej wykształcony, tym racjonalniej patrzy na życie, a tym samym na zadania wychowania, nie wypuści więc z pamięci istotnego celu swej pracy, którym jest wychowanie, wszechstronne wyrobienie człowieka, nadanie sprawności wszystkim jego władzom, nie zaciętrzewi się w naładowaniu jak największej ilości wiadomości i drobiażdżków.

Rozumiem, że wychowawczynie nie mogą żyć wyłącznie nauczaniem, wtajemniczaniem się w duszę dziecka — są one przeważnie młode, wstępują za próg dojrzałości fizycznej, a z nią budzą się w ich duszach nowe, dotąd im obce struny, życie ciągnie je potężnie. Wiem o tym, lecz wiem także, że, im bardziej zajęcie wejdzie w krew człowieka, stanie się tym czymś, czym on oddycha, żyje, tym łatwiej, sprawniej, a przede wszystkim radośniej pełnić będzie przybrane przez się obowiązki.

Wychowawczyni, która rzeczywiście lubi swoje zajęcie, chlubi się nim, ma je wciąż na myśli, nie wstydzi się,

że jest nauczycielką, przy każdej okazji coś dla swojej dzieciarni zdobędzie, sprostkuje, nie nudzi się też tak bardzo na spacerach, bo żyje poniekąd światem dziecka. Obserwuje wszędzie, co się jej przydać może. Np., przeczytawszy w telegramach o przyborze wody i ruszeniu łodów w górze rzeki, śledzi już uważnie, kiedy to widowisko podsunie się pod Warszawę. Korzysta z wywiadów ze specjalistami: u szewca dowie się czegoś nowego o warunkach jego pracy i fabrykacji obuwia, tak samo postara się zapoznać z promieniami Roentgena, gdy doktor prześwietla złamaną rękę i t. d. i t. p.

Zajmowanie się wychowaniem przedszkolnym ma bardzo dodatni wpływ i na samego wychowawcę. Nie zacieśnia mu się umysł w jednej tylko dziedzinie, jak niejednemu zacietrizwionemu specjaliście; tu najróżnorodniejsze działy są wciąż na stole, młody, ruchliwy przytym przeważnie umysł dziecka nie pozwala i nauczycielowi drzemać spokojnie.

Młode nauczycielki niecierpliwi bardzo brak gotowych pomocy naukowych. Na kursach miały ich poddostatkiem, w praktyce z trudnością wyproszą u chlebobawców jakieś tablice, no, ale okazy, te nieszczęsne okazy! skąd je brać, a bez nich tak trudno! Tu już każdy musi puścić w ruch własną wynalazczość i pomysłowość.

Za parę groszy dostać można na targu kwiatów polnych, leśnych; szczególniej skwapliwie znoszą wczesną wiosną sasanki, przylaszczki, zawilce, jaskry, kaczeńce, kotki wierzbowe, no, i fujarki.

Do pogadanek zużytkować można rośliny doniczkowe, warzywo, przyniesione do obiadu, np. na marchwi pokazać, jak tną deski w tartaku, dalej, kamyki z Saskiego ogrodu. Mamy w handlu artystyczne pocztówki, przedstawiające pojedyncze rośliny, np. wspaniały mlecz, muchomory, oset, gałązka dębu z żołędzmi i liśćmi i t. p. typy ludowe, gmachy, wybitne osobistości, zwierzęta, mapki i t. p.

Można pozwalać dziecku na zbieranie marek, pocztówek pod warunkiem, że zapozna się szczegółowo z ich treścią.

Z własnej praktyki pamiętam, jak zdobywałam liście dębowe ze słoja z kwaszonymi ogórkami, zbierałam kłosa na bruku. Handlujący choinkami upiłował mi bezinte-

resownie kawałek pieńka do zademonstrowania słoików itp. Projektowałabym urządzanie od czasu do czasu konkursów na pomoce naukowe, obmyślane przez nauczycieli, wystaw robótek z materiałów, dotąd nie wyzyskanych, modeli, zbudowanych tanio, dowcipnie, łatwych do naśladowania.

Wogóle w wychowaniu przedszkolnym mowy być nie może o niewzruszonych ramach i programach, są tylko pewne wypróbowane, naukowo sprawdzone wytyczne, materiał zaś do nauki czerpie się zewsząd, dostosowując go do rozwoju, uzdolnienia, warunków życia, zainteresowania danego ucznia, uwagi więc, mające za temat wychowanie przyszłego człowieka, to nigdy niewyczerpany temat do referatów i dyskusji.

Niejedną wychowawczynię przeraża ogrom wiedzy, obowiązków, umiejętności, jakich się od niej wymaga. Czyż podobna wszystko wiedzieć, umieć, odpowiedzieć dziecku na wszystkie pytania, wszystko objaśnić i co robić wobec swojej niewiedzy w danej chwili czy kwestji?

Jedynym rozwiązaniem jest oświadczyć z całą szczerością i powagą: „Tego nie wiem, ale się dowiem, innych zapytam, w książce sprawdzę, bo zapomniałam”. To nie obniży powagi nauczycielki, o ile wielokrotnie już się wychowawcy przekonali o wielkim jej zasobie wiedzy w porównaniu z ich malusim. Przedstawić należy niemożność ogarnięcia całokształtu wiedzy przez jeden umysł, dlatego to mamy tylu specjalistów. Wyjaśnić to można dzieciom choćby na lekarzach: jeden oczy, drugi uszy leczy i t. p.; jedne osoby szyją bieliznę, inne suknie, rękawiczki, inne wreszcie krawaty, kapelusze i t. d.

Wiedza gromadzi się stopniowo: im nauczycielka starsza, tym więcej jej posiada, o ile pamięta, że zdobyte za młodu zapasy byłyby z czasem niczym pamiątki ze szkatułki babuni: wstążeczki o wyblakłych barwach, kwiaty bez woni, staroświeckie sakiewki i notesiki z paciorków, gdybyśmy wiedzy swej nie wzbogacali coraz świeżymi zasobami. Kto nie czuje żądzy poznania, nie pragnie sam coraz więcej wiedzieć, niech nie marzy o twórczym i odpowiedzialnym zawodzie wychowawczym, niech przerzuci się raczej do zatrudnień mechanicznych, polegających na coraz to sprawniejszym wykonywaniu wciąż tych samych czynności.

Często to dalsze kształcenie się przybiera formę koleżeńskej współpracy z dziećmi, np. „Odszukamy w kluczu do określania roślin ten okaz, bo go wcale nie znamy”, mówi wychowawczyni; „musimy sobie kupić plan Warszawy, bo jakoś źle się orjentujemy w tej dzielnicy”; „wyprosimy sobie pieniądze na atlasik motyli, bo jakoś z motylami wartoby się bliżej zapoznać”. Skądinąd lubiana i ceniona przez dzieci kierowniczką może sobie na tę formę wypowiedzenia pozwolić, czuje to sama najdokładniej, najwyraźniej, instynktownie.

„Nie mam powagi u dzieci, dzieci się mnie nie boją i nie słuchają”, martwi się znów niejedna wychowawczyni, nie każdemu bowiem dany jest w charakterze pewien rys despotyzmu, sprawiający, iż osoba, nie mająca nieraz ani wysokiego stanowiska, ani inteligencji, potrafi rządzić nawet znacznie bogaciej od niej obdarzonymi. Siła ta to coś wrodzonego, to nieuchwytny nakaz, który do posłuchu zmusza.

Bywają jeszcze inne stosunki: nauczycielka „bierze” dzieci serdecznością, pieszczotą, to znów wytwarza się stosunek wesołego koleżeństwa, który przetwarza całe wspólne oddziaływanie w szkołę wspólnej pracy. Jeżeli jednak żaden z tych i podobnych im stosunków się nie ułoży, nauczycielka nie czuje żadnych więzów łączności, nawiązujących się między nią a wychowancami, lepiej rzucić zajęcie, które stanie się tylko udręką ciągłą, krew wysysającą.

Niektóre wychowawczynie wstydzą się prowadzić na spacer cudze dzieci i wogóle swojego zajęcia, uważając je za coś upokarzającego, gorszego np. od pracy nauczycielki, przychodzącej na lekcje wyłącznie, skarżą się, że zajmują jakieś stanowisko dziwne, podrzędne. Rada na to: niech całym swym poważnym zainteresowaniem, sumiennym pełnieniem obowiązków imponują otoczeniu, budzą szacunek i uznanie, dotąd bowiem mały procent stosunkowo mamy osób wykwalifikowanych i odpowiednich wobec licznych zapotrzebowań, mało osób, z zapałem i dumą pełniących poważne i odpowiedzialne obowiązki wychowawczynie.

Dziecko na przechadzce.

Świt zimowy. Ponowa. Na ulicy niepokalana powłoka śniegowa. Śpieszę długą linią Marszałkowskiej na dworzec Wiedeński. Stróż z miotłą w rękę zabiera się do pracy. Wtym z bramy wysuwa się maluni, dwuletni niepełna chłopaczek. Zerwał się z łóżeczka, ubrany już, tylko mamusia nie zdążyła mu jeszcze zasnurować bucików. Włoką się czarne rzemyczki. Drzwi do izdebki uchylone, widać jasność od pieca. Mamusia odwróciła się, pewnie do kawy na kominie, a on smyrz na ulicę. Już przy tacie. Wielki, silny, barczysty Mazur, policzki rumiane, oczy błyszczące, wąsy, jak miotły, klęka na trotuarze i zabiera się do sznurowania bucików swojemu kruszynie. Cudny obrazek rodzajowy! Nazwałabym go „W służbie Amora” lub „Próbna wycieczka”. Inny znów obrazek nasuwa mi się na pamięć z ostatnich moich wakacji na wsi: mój przyjaciel, Franuś, jegomość czteroletni, nie rozmawiał ze mną prawie wcale, nie miał na to jakoś czasu i ochoty, lubimy się jednak bardzo, wiemy o tym oboje.

Bo i pocóż Franuś miał ze mną rozmawiać? Ma przecież nierozłącznego towarzysza, Piotrusia, pięcioletniego synka sąsiadów, z którym rozkosznie taplał się i skakał w ciepłej wodzie kałuży wioskowych, objadał zieloniusieńkie gruszki i jabłka, kiedy inne, wcześniejsze owoce, były już takie dojrzałe. Miał pieska Trezorka, Bosika, Sukę z jednym okiem, dwie po trzy kwartały mające siostrzyczki. Całe dnie spędzałam w ogródku, wypoczywając, drzemiąc i czytając naprzemian. Z za płotka dochodziło mi coraz ćwierkanie chłopczyków, zawsze blisko domu: na podwórku, w ogrodzie warzywnym, w sadku, na ulicy. Myślałam nieraz: „Ot, ci to spaceru nie zapragną!” Spostrzeżenia moje okazały się płonne.

Zaczęła się praca hen! daleko, nad Bugiem. Z okien chaty dobry tylko wzrok może dojrzeć minjaturowe figurki kosiarzy. Daleko, daleko, „na futorach”. W domu cicho, cichutko. Jakaś cisza. długa, długa po wieczorach i rankach ruchliwych, hałaśliwych posiłkach rodziny, powinowatych i niezwyklej liczby najemników. Mój przyjaciel, wrażliwy jegomość, odczuwa ją i postanawia sobie,

że i on być musi na futorach, musi zobaczyć, co się tam dzieje. Nie chcą go zabrać: trzeba brodzić po rowach po pas i nieść narzędzia, zapasy żywności, garnki.

Ale pani pojedzie tam po południu. Franuś przysiadł przy dziobie łódki, rączkę zanurza w przyjemnej, chłodnej wodzie. Jedzie wśród tataraków, niezapominajek, lilii żółtych, białych. Niebo jasne, słońce grzeje, świat cudny naokół... U celu — mamusia, tatuś, znajome twarze, obiad wspólny, sen na sianku i powraca, otulony już w chustkę mamusi, bo coś się ochłodziło po przelotnym deszczu.

Stróżaczek — na ulicę, Franuś na „łęgi” pociągnął; pchała ich jedna siła, pragnienie rozszerzenia widnokręgu, żądza poznania, wiedzenia, widzenia! Stąd jasna definicja, czym może być spacer dla dziecka.

Dzieci zamożne naogół przechadzek nie lubią. Poprzedza je tyle nudnych i skomplikowanych czynności: czesanie głowy, zmiana sukienki, nieraz bucików i pończoszek, bo przecież pocerowane mogą być tylko na „po domu”, a wypłowiałej czy sztukowanej sukienki na ulicy się nie prezentuje, żeby nie narazić rodziców na posądzenie, że stan ich majątkowy jest opłakany, lub że brak im gustu. W zimie przybywa mufka, kołnierz futrzany, serdaczek, kamasze lub getry, chusteczka, rękawiczki. Przygotowania te, szczególnie jeśli dzieci w domu spora gromadka, zabierają już lwią część wyznaczonego czasu, a przytym debaty nad pogodą: jak się ubrać, żeby nie było za zimno. A tu czasu nieraz niewiele: na obiad trzeba się stawić punktualnie. Czyż warto tyle zachodu na tak krótki czas? biadają dzieci.

Spacery po mieście to najprzykrzejsza strona zawodu i dla wychowawcy, o ile nieumiejętnie reżyserowane, a raczej odbywane bezmyślnie, zawsze po tej samej ulicy, a nawet po tej samej słonecznej stronie. Fräulein lub mademoiselle prowadzi niezmiennie bowiem do ogrodu Saskiego, Parku, Łazienek, na Nowy Świat lub Marszałkowską, stosownie do miejsca zamieszkania, jeżeli rzecz się ma w Warszawie, lub na jaką ulicę Warszawską, jeśli to prowincja. A ponieważ codziennie tyleż prawie czasu na spacer wypada, dzieci poznają dokładnie jedną arterję miasta do pewnego punktu, nigdy dalej, bo już

pora na obiad lub podwieczorek. Niezmiennie spotykają takie same, jak one, wystrojone laleczki, w tym samym celu prowadzane.

Czy daje dzieciom taki spacer wiele wesela, tego czynnika niezbędnego dla zdrowia? Co do mnie — wątpię. W dnie świąteczne, kiedy rodzice zwykli dostarczać dzieciom wyjątkowych rozrywek, jakież długie debaty: „gdzie jechać?”, „co robić?”, a ostatecznie, jeśli ciepło, kończy się niezmiennie na Łazienkach, Alejach Ujazdowskich lub ogrodzie Botanicznym. Podwieczorek w mleczarni, strojne ubranie, dużo kurzu, nudne wleczenie się za wystrojonymi i również znudzonymi rodzicami i nic więcej. W zimie — cyrk, teatr, kinematograf, a jak obecnie i koncert, zawsze to samo. I kosztownie i niepedagogicznie.

Znudzone dziecko wlecze się niechętnie, pchnięte w ruch podkreśloną przez otoczenie zbyt wyraźnie troską o zdrowie, bo w spacerze higijeniczna strona jest naogół najbardziej, wyłącznie niemal doceniana. Tak, oczywiście, spacer jest jednym z wielce ważnych zabiegów zdrowotnych, ale nie należy jego ważności do tego stopnia jak obecnie podkreślać, zaznaczać wobec dziecka. Dobrze, że zasady higieny coraz bardziej wchodzą w krew ludziom, lecz mówienie wciąż i wciąż o zdrowiu i chorobach nadaje życiu nastrój sanatorium, szpitalny zapaszek.

Wysyłajmy dziecko jak najczęściej, żeby odetchnęło świeższym, niż w domu, powietrzem, lecz niech wie, że robi to raczej dla rozrywki, nie gaśmy w nim wesołości życia! Nadmierne rozwodzenie się nad stanem zdrowia rozwija w nim też samolubstwo, zbytne ceniecie siebie, zajęcie się sobą, wysuwanie siebie na pierwszy plan, uczy je podporządkowania otoczenia jego nikłej osóbcce, a to chyba groźne, poważne zło!

Otoczajmy dziecko czujną i rozumną troską, lecz niech motyw jej nie będą uwydatniane.

Przechadzka to zajęcie urzędowe, pańszczyzna z musu, obowiązek! Sytuacja z gruntu się zmienia, jeśli ma cel ciekawy, coraz inny, czasem ze zmianą nawet godzin. Spacer to coś, co powinno być wielce miłe i zawierać tak wiele pierwiastków kształcących, jak zwykle widok życia, życia żywego, prawdziwego, tylko nieco dobrej woli!

Młody tatuś bawi się z dwuletnim malcem w ogrodzie Saskim. Wtym wpoprzek alei po ubitej ziemi z jednego trawnika na drugi śpieszy gorączkowo nieduży robaczek. Tatuś go dostrzegł: „Jerzyku! Jaki śliczny! malutki! jak przedziutko ucieka!” Chłopczyk zachwycony: buzia rozpromienia mu się, jak słońce, chciałby rechotać, machać rączkami i nóżkami z uciechy, pod hamującym wpływem rodzica dech zaparł, stoi pochylony z tatusiem nad ciekawym, nieznanym sobie tworem, zjawiskiem... Tatuś nie kończył kursów ochraniarskich ani nauczycielskich, serce mu podyktowało, że to dla malca może być ciekawe, mile.

Tak, serce wiele może, ale wiedzy też potrzeba! Połączone razem dają pomysłowość, ciągłą czujność w wynajdywaniu wrażeń już to miłych, już to pożytecznych dla kształtowania psyche wychowanków.

Że spacer, aby był przyjemnością, nie nudą, musi mieć jakiś cel, same dzieci nas tego uczą; słysząc, że mamusia wybiera się po sprawunki, w interesie, z wizytą, wogóle gdzieś, po coś, usilnie proszą, żeby je ze sobą zabrała, zamiast żeby „wlec się na ten nudny, nieznosny spacer”. (Czasem wprawdzie dlatego, że mamusię można wyzyskać: coś zafunduje, kupi, a z panią to nic takiego nie będzie!)

Cóż ma być tym celem?

Ot np. dzieci wieczorem tyle rozprawały swoim zwyczajem na temat: „Żebym to ja tak był królem! W jakim ślicznym zamku. pałacubym mieszkał!” Stąd gawęda z wychowawczynią o dawnych czasach, oglądanie ilustracji w rocznikach „Świata”, „Tygodnika Ilustrowanego”, w „Encyklopedji Staropolskiej”. Wreszcie obiecała im pani na spacerze pokazać zamek i pałace. Przechodziły koło nich tyle razy bezmyślnie, ciągnąc panią gwałtownie naprzód, całym ciałem w tę stronę podane lub też przez nią ciągnione, znudzone, rozgrymaszone, dziś z zaciekawieniem patrzą na mijane budynki i z zadziwieniem spostrzegają, jak jaskrawo odcinają się gmachy publiczne, pałace od zwykłych domów mieszkalnych, jednostajnych, zapchanych sklepami.

Innym razem nauczycielka pokazuje spadek terenu Warszawy ku Wiśle w związku z gawędą o wysokich i niskich brzegach rzeki, to znów zwraca uwagę, jak bardzo

się różni dzielnica fabryczna od ulicy Marszałkowskiej lub Nowego Świata.

Ten sam spacer, to samo łykanie powietrza, czystszego, niż w rodzinnym gnieździe, zawieszonym firankami, storami, roletami i portjerami, to samo przewietrzanie skóry, poddawanie jej działaniu słońca, lecz jakież inny nastrój! Z jakim wesołym hałasem wpadają dzieci do domu, jeśli na spacerze zdarzy im się coś niespodzianego, jakieś urozmaicenie, dzielą się z otoczeniem świeżymi wrażeniami, nowonabytymi wiadomościami!

Droga do poznania.

Dziecko rodziców zamożnych, t. zw. „dobrze wychowane”, potomstwo inżyniera, adwokata, lekarza, bankowca, zamożnego kupca, znacznego urzędnika, uczone jest starannie, ale odgrrodzone od poznania prawdziwego życia murem przesadnej nieraz troskliwości, konwenansu, uprzedzeń—zbyt mało poprostu ma wrażeń! Nie wolno mu nawet przeważnie chodzić do kuchni, nie mówiąc już o podwórku, zamknięte bywa stale w obrębie pokoiów, a czasem jednego prawie wyłącznie, dziecinnego, który zna na wylot i który niczym go zaciekać nie zdoła. A tymczasem dziecko drobnomieszczańskie ileż codziennie zdobywa nowych wiedzy! Piątkowy powrót z targu ileż to przeróżnych wrażeń! Tu różne grzyby, tu kura gdacze, czy ucieka, pragnąc się wyzwolić z pęt, tu raki się rozłaza, jagody w opakowaniu paprociowym, sery, twarogi—wielka to, bardzo intensywna uciecha dla dzieci!

Babcia, czy mamusia każe powycierać szklanki, zetrzeć kurz z mebli, pozamiatać pokoje, zebrać ze stołu kruśzynki, złożyć obrus, nakryć do stołu. To znów dziecko ma posiekać natkę, koperek, słoninę w kostkę pokrajać, makaron, łazanki; groch wyłuskać, kawę zemleć, szpinak, szczaw, mięso posiekać; starsze rosół szumują, biją pianę, pilnują mleka i t. p. Jakaż to znajomość coraz to nowego materiału i techniki, prawdziwa szkoła życia, szkoła pracy!

Jak wiadomo, zasadą szkoły pracy jest zdobywanie wiedzy drogą własnego doświadczenia i obserwacji. Zasady te, już przyjęte w nauczaniu, rzadko są stosowane

w wychowaniu domowym. Potrzebę takich zajęć uzasadniali Pestalozzi, Froebel, Tołstoj, Foerster, Ellen Key i inni. W ostatnich czasach znalazły one zastosowanie w instytucji „Pestalozzi-Froebel-Haus” w Berlinie, w zakładzie Dr. Montessori.

Piszą o tym: Wetekamp w „Selbstbetätigung und Schaffensfreude in Erziehung und Unterricht” 1910. Plecher. „Das Arbeits-Prinzip in Volks und Fortbildungsschule”, Wunderlich 1909 r. Z Droescher w „Das Kind im Hause”. Teubner 1913—II wydanie, również autorowie całego szeregu artykułów w numerze czerwcowym i następnych „Dziecka” z r. 1913.

Freblanka powinna starać się dobrze wychowane dzieci wciągnąć w życie domowe, a równocześnie, pamiętając o tej ułomności tej sfery, tym więcej na spacerze rozwijając spostrzegawczość i znajomość życia.

Dziecko powinno poznać miasto, teren, na którym żyje, najbliższe poza mieszkaniem, gniazdem rodzinnym, otoczenie. Bo, prawdę powiedziawszy, czy nie za wiele czasem my, mieszkańcy miast, mówimy z dziećmi o pieskach, kotkach, których nb. niejeden właściciel domu nawet chować lokatorom zabrania, o roślinach, żuczkach, ptaszkach i t. p. tworach przyrody w imię zasady: od rzeczy łatwiejszych do trudniejszych, od prostych do bardziej złożonych? Czy nie trzymamy się tej wytycznej zanadto uparcie, bezkrytycznie?

Czasy Pestalozziego, Froebela za nami już daleko, warunki życia były wtedy inne. Dziś liczne kraje uprzemysłowiły się, całe prowincje, rolnicze ongi, pokryły się wielkimi miastami, fabrykami. Moim zdaniem, więcej, niż dotychczas, uwzględnić należy drugą zasadę: dziecko powinno poznać przedewszystkiem najbliższe otoczenie, bo inaczej patrzy, wciąż patrzy i... nie widzi.

Ulica dla malusiego mieszkańca miasta to wawóz, szeregi kamienic—wysokie łańcuchy górskie. Ze wszystkich stron dochodzą go hałasy, dzwonki tramwajowe, telefoniczne; naokół widzi mnóstwo okien sklepowych, zapchanych mnóstwem różnorodnych przedmiotów; środkiem pędzą przeróżne pojazdy. Wszystkiego dużo, bardzo dużo, tłoczno, gwarno, jakiś chaos bez wyjścia, gmatwanina. Dziecko patrzy na to wszystko i... tak niewiele widzi.

Chcąc, żeby rzeczywiście dojrzało to, co się przed jego wzrokiem piętrzy i rozpościera, trzeba mu w tym od-
męcie dopomóc, rozłożywszy otoczenie na części skła-
dowe. W tym celu, wyglądając z wychowankiem przez
okno, podzielić ulicę na pojedyncze domy, wskazać, gdzie
się kończy jeden, zaczyna drugi, po ile mają pięter. Jak
są pomalowane? Wskazać facjatki, objaśnić, co jest front,
oficyna: prawa, lewa, poprzeczna; nowy, stary dom, skrom-
ny i ozdobny budynek; dachy pochyłe i płaskie; poco
są rynny? czy są szyldy i jakiego koloru i kształtu, ja-
kiej wielkości i ile? kto to jest budowniczy i mularz
(pierwszy projektuje, drugi wykonywa). Trzeba wyróżnić
z otoczenia latarnie gazowe i elektryczne, drzewka, trotuar,
bruk; rysować plan danej przechadzki, drogi i place
linjami prostymi, pojedynczymi lub równoległymi.

Dziecko ma całe oceany gotowych okazów do kształ-
cenia wszystkich zmysłów w najbliższym swym oto-
czeniu, nie trzeba w wychowaniu uciekać się wyłącznie
do umyślnie w tym celu robionych rzeczy sztucznych,
o kształtach geometrycznych, odmierzonych subtelnie,
jak tego żąda np. p. Montessori (zastrzegam się, że istotę
systemu jej; „usubtelnienie zmysłów“, uważam za nie-
ocenioną i głowę kłonię przed wielką jej reformą, lecz
co do pewnych szczegółów się nie zgadzam; trzeba
kształcić zmysły nadewszystko na przedmiotach zwykłego,
normalnego otoczenia).

Innym znów razem można przeprowadzić pogadankę
(ma się rozumieć, ze starszą nieco dziatwą) na temat: jak
dawniej wyglądały miasta, poczym spacer w dzielnicę sta-
romiejską. Tu zwrócić uwagę na ciasne ulice, wysokie,
wąskie kamienice o bardzo grubych murach, a male-
nieczkich podwórkach, rynek. Dalej: ulica „Podwale“,
pochodzenie nazwy. Mury miejskie; skąd nazwa „Kra-
kowskie Przedmieście“? Dla wychowawczyń polecam
„Przewodnik po Warszawie“ Thugutta (50 kop.).

To znów omówić wzrost miast, powstawanie nowych
dzielnic, do czego nadaje się spacer na Wolę w okolicę
cmentarzy protestanckich, gdzie w oczach wprost rośnie
nowa część Warszawy.

Dzieci miejskie a wiejskie.

Dzieciaczyna nasz miejski, czy przez okno wyglądając, czy na ulicy się znalazłszy, widzi naokół czarne ludzkie mrowie: pędzi to wszystko, ten wprawo, ten wlewo, popycha się, poszturguje, wyskakuje z tramwaju, lecz gdzie, poco oni pędzą? Tatus, mamusia wyjdą na ulicę, gdzieś miesza się z tym tłumem, nawet ich wzrokiem wyróżnić niepodobna! I poszli załatwiać jakieś „interesy“, do jakiegoś „biura“, „kantoru“, coś rozmawiają nieraz, ale tak jakoś niezrozumiale! Jacys panowie przychodzą, odchodzą...

Na wsi inaczej. Co robi otoczenie, to takie jasne, zrozumiałe dla małego wieśniaka. Np. od paru dni na ustach wszystkich „kosowica“. U tego, u owego sąsiada już pracują na „łęgach“. „Trawa wysoka—czas“, mówią domownicy. Ciotka z sąsiedniej wsi przyszła do pomocy. Ojciec najał uboższych sąsiadów. Wieczorem mężczyźni wykłepują kosy koło komina. Babcia upiekła chleb dla kosiarzy. Malec to wszystko widzi i tak jasno, dokładnie rozumie, czemu to, obudziwszy się pewnego dnia rankiem, nikogo, prócz babci i małej siostrzyczki w kołysce, nie zastaje. Cicho w domu—wszyscy poszli.

Ale oto niespodzianie niepogoda. Babcia coraz na niebo spogląda, wyrzeka. Będzie burza! Ulewa!! Prawie z jasnego nieba potoki deszczu. Jeden za drugim kosiarze wracają z pola. Młodzi rozśmieszeni, rumiani z pośpiechu, choć woda ciurkiem leje się im z ubrania. Z wybuchami śmiechu opowiadają swoje przygody. To nic. Jeszcze nie taka szkoda. Ot już i ulewa przeszła. Teraz i malec prosi o wzięcie go na „łęgi“. Zabierają go ze sobą i calutką tam pracę zobaczy, aż wreszcie z gotowym już plonem na furze sianka pachnącego do zagrody, do stodoły nie raz jeden zajędzie.

Na wsi, zarówno we dworze, jak i w chacie, dziecko wie z codziennego doświadczenia, co się produkuje na miejscu, a co kupić trzeba w mieście; otaczają je twory przyrody lub poznaje dokładnie i szczegółowo całokształt niezbyt złożonej fabrykacji.

Dla przykładu weźmy przygotowanie we dworze mostków.

Mamusia oddawna marzyła o brzozowych mostkach w ogrodzie, tatusiowi też się ten projekt podobał, ale była zima: nie czas na takie roboty. Wiosną cieśla Antoni dużo miał pracy przy sporządzaniu narzędzi rolniczych, a wszystko pilne, bo niezbędnie potrzebne; mostki ozdoba, mogą poczekać. Wreszcie pewnego wieczora, przy dyspozycji robót na dzień następny kazał tatuś Frankowi jechać po drzewo do gaiku. Władysław wybrał się z fornałem. Widział, jak brzozy ścinano, pozbawiano gałęzi, liści. Mama wydała pudełka z gwoźdźmi ze spiżarki, Antoni wziął deski z drwalni i przystąpił do roboty. Władysław w wolnych chwilach coraz zabiegał do ogrodu. Antoni dzielnie się uwiązał, mostki rosły w oczach. Chłopczyk nie mógł się nimi nacieszyć.

Prawdę powiedziała mamusia: „Ślicznie odbija biel brzošek na ciemnym tle zieleni“. „Tak się przyozdobił ogród“, mówili sąsiedzi w imieniny tatusia.

Dla małego wieśniaka zupełnie jest jasna cała manipulacja np. z pocztą, gdyż poznał wszystkie jej ogniwa. W stołowym pokoju na ścianie wisi czarna torba. Wewnątrz kłódka i pręt żelazny. Władysław lubi ją bardzo. Teraz pusta, zwiesza się ukośnie na rzemyku, ale za chwilę wszyscy się zejdą na śniadanie, może kto będzie miał listy do wysłania. Włożą je do środka. Mamusia wsunie pręt, zamknie kłódkę, kluczyk zawiesi na ścianie. Przez okno garderoby widać konia. Maciuk jedzie umyślnie na pocztę, bo żadnej okazji dziś do miasta nie było. W krótkim kożuszk, torbę przewiesił przez ramię i pędzi. Za dwie godziny będzie z powrotem. Władysław wie, jak to tam na pocście. Maciuk musi czekać kolei, bo dużo się ludzi zeszło. Wszyscy wiedzą już w miasteczku, że „poczciarz“ wrócił z pociągu. Wreszcie na Maciuka kolej. Urzędnik ma drugi kluczyk. Otwiera nim torbę i ładuje. Czasem bardzo ciężka. Nieraz Władysław naprzeciw posłańca wyskoczy, ale nic z tego, torba zamknięta... Maciuk wrócił. Co za radość! W stołowym na stół pod oknem wypadają listy, gazety, czasem książki, telegramy. Władysław ma swoje „Pisemko“, tatuś—kurjery, mamusia—„Sfinkska“. Miły liścik od babci, że wkrótce przyjedzie... Władysław widział nieraz, jak „poczciarz“ na dworcu kolejowym przynosił skrzynkę z pocztą do wa-

gonu i zabierał drugą wzamian. Jaka to dobra rzecz ta pocztą!

Otoczenie mieszczaucha to gotowe już fabrykaty, przeważnie bardzo złożone. Zarówno dziecko proletariusza, jak bogacza, staje bezradnie ogłupiałe wobec wielce skomplikowanych aparatów, przyrządów. Wychowawca powinien ułatwić, udostępnić ich zrozumienie, sporządzwszy z materiałów najzwyczajniejszych, najtańszych, najdostępniejszych: z łupinek od orzechów, tektury, drzewa, kawałka szkła, rurki, sznurka—model telefonu, windę, telegraf i t. p. przedmioty, spotykane na każdym kroku.

Powie kto: z telefonem, windą, telegrafem i tym podobnymi przyrządami zapozna się dziecko dokładnie, szczególnie na lekcjach fizyki, po gruntownym przestudjowaniu mechaniki i t. p. To prawda, lecz dziecko czekać nie może do 6-ej, 7-ej lub 8-ej klasy, musi zaraz otrzymywać odpowiedzi na dręczące je zagadnienie, inaczej czujność jego usypia się sugestyjnie działającym: „To za trudne dla ciebie!“ Dziecko leniwieje i łatwo ustępuje bez odpowiedzi wobec innych szeregiem nasuwających mu się przed oczy podniet. Już pytać natarczywie nie będzie o wszystko z błyskiem zaciekawienia. Z osowiałą miną spogląda na tyle „za trudnych“ dla siebie zjawisk i przedmiotów.

Z konieczności nauczanie musi być pod pewnym względem koncentryczne: wracamy do tych samych tematów. Największą pracę myślową odbywa dziecko do jakich lat 7-10. Do tego czasu musi znaleźć odpowiedź na najpoważniejsze zagadnienia, dręczące ludzkość po wsze wieki, na tyle: „Dlaczego? po co? skąd?“. Dlaczego noc i dzień? skąd deszcz? i t. d. i t. p. Studjuje wszystkie podstawowe zagadnienia z etyki, fizyki i wszystkich wogóle nauk.

Po 7-ym jakimś roku następuje pewna pauza, pewne uciszenie od tych tłumnie tłoczących się do umysłu i na usta „dlaczego?“. Intensywny głód został na razie zaspokojony. Dziecko zadaje pytania miłe, naiwne, drogie, kochane, lecz nie tak nawalnie. Wytworzyło sobie pewien pogląd na świat, który je na razie zadawalnia.

Koło 15 roku, trochę wcześniej lub później, zależnie od rozwoju danego indywiduum, w dziecku, które kończy

już średnie wykształcenie, następuje rewizja pojęć, niejedno przeżywa silny kryzys religijny, moralny i t. p. wstrząśnienia, to czasy gorących dysput z kolegami, walka namiętna, przeważnie z rodzicami, o ile zrozumieć tej fazy nie potrafią, no i wreszcie trzeci krąg to kształtowanie się wolne, stopniowe, dorosłego już człowieka, ciągle nieznaczną ewolucja jego pojęć i zapatrywań aż do mogiły.

Wychowawca więc wcześniej musi odpowiadać na trudne pytania, wyjaśniać rzeczy zawiłe, lecz, omawiając je, powinien oddzielić istotę rzeczy, główną zasadę, podstawę od szczegółów podrzędnych. I tak, wobec maszyny, fabryki wskazać cel ich i przeznaczenie: np. w browarze wyrabiają piwo, w gorzelni—spirytus, w młynie kamienie rozcierają ziarno na mąkę, pytle oddzielają ją od otrąb i t. p. Przytym zwrócić uwagę na siłę, wprowadzającą w ruch np. młyn wodny, parowy, wiatrak: porusza je woda, para, wiatr, elektryczność, konie. Siła porusza jedno koło, które, połączone z innymi, wprowadza w ruch wszystkie, całą maszynę lub nawet fabrykę. Zawsze w tym duchu, nigdy za wiele, nie zatracać się w drobnostkach!

Ludzie wielkiej nauki nie potrafią nieraz wytłumaczyć jasno, przystępnie zasadniczej istoty rzeczy, gubią się w podrzędnych szczegółach, drobiazgach. Byłam np. świadkiem, jak inżynier-mechanik, człowiek poważny już i wszechstronnie wykształcony, nie umiał objaśnić synkowi przyrządu do wypalania na drzewie.

Dobry nauczyciel musi w tym celować, bo przecież rolą pedagoga-wychowawcy jest być pośrednikiem-tłumaczem między dzieckiem a zbyt trudnym zjawiskiem, dziełem sztuki, książką.

Od czasu do czasu zjawiają się też i na wsi rzeczy bardzo skomplikowane: np. latarka elektryczna, nowe narzędzia rolnicze, gramofon, lecz, ukazując się pojedynczo, nie w tłumie innych, wywołują silne wrażenie, pobudzają i przyzwyczajają do szczegółowego zbadania, rozpatrzenia, skutkiem czego naogół umysły wieśniaków bywają gruntowniejsze, głębsze, niż przeciętnych mieszkańców wielkiego miasta, posiadających dużo wiadomości, jak się to mówi, „po łebkach“. Nachwytawszy coś

niecoś z pism codziennych, rozmów, rezonuje mieszczech o kanalizacji, samorządzie, równouprawnieniu kobiet, socjalizmie i w zestawieniu z wieśniakiem w pierwszej chwili olśniewa wielostronnością umysłu, lecz, przyciśnięty do muru o bliższe szczegóły, dane statystyczne, milknie skonfundowany.

Czyż wobec tego nie najidealniejsze warunki rozwoju ma dziecko, które spędziło pierwsze lata życia na wsi, a późniejsze—w mieście? Pierwsze lata—gruntowne zapoznanie się z niezbyt złożonym najbliższym otoczeniem, dalsze okresy, obejmowanie usprawionym już umysłem, usubtelnionymi zmysłami coraz większego i większego zakresu, warunków bardziej skomplikowanych.

W mieście mamy liczne okazje do bliższego zapoznania dziecka ze światem zewnętrznym, ze zjawiskami bardzo dostępnymi, codziennymi, z których się mało korzysta. Dzieci nie znają np. ogrodu Saskiego, chociaż tam wciąż chodzą; nie mówię już o tak wyjątkowych widowiskach, jak otulone zasłonami kwitnące rośliny w czasie przymrozków lub szlamowanie sadzawki, tyle tam rzeczy do poznania!

A zatym materiał do pogadanek zimą: Wielkość, kształt i plan ogrodu. Czy widać z jednego końca drugi? Kiedy lepiej: latem, czy zimą? Bramy. Ilość ich i dokąd każda prowadzi? Ogródenie klombów. Zbiornik wody i łączność jego z wodotryskami. Cel stawiania oranżerii. Sadzawka. Dawny pałac królów Sasów. Teatr Letni. Ogródek wód mineralnych. Wielkość drzew w stosunku do wysokości człowieka. Ileby to osób trzeba było postawić jedną na drugiej, żeby dorównać wysokości drzewa? Grubość pnia. Dziecko rączkami obejmuje drzewo, inne zaledwie we dwoje, troje. Drzewa pośrodku alei w budynku teatralnym. Czy wpierw przeprowadzono aleje, czy też drzewa posadzono? Chodniki, żwir. Korzenie drzewiaste, sterczące. Pokrój drzew. Szczególniej wyróżniają się topole włoskie, drzewa płaczące, dziwaczne kształty niektórych, np. u wejścia od Żabiej. Dalej białokore brzoźki obok ciemnych drzew iglastych. Rysunek gałęzi. Łamane i łukowate linje gałęzi, czarno odcinające się na białawym tle nieba. Jagódki ponsowe i białe na bezlistnych, zupełnie już gołych drzewach i krzakach.

Pączki, kora różnych drzew, gładka i chropowata. Kolor jej. Otulanie na zimę posągów, drzew i klombów. Sztuczne gniazda na drzewach.

Wiosną: Obcinanie gałęzi. Dlaczego wiosną? Jasne blizny w miejscach odcięcia; zdejmowanie okrycia zimowego, gałązek iglastych i zgrabianie przegniłych liści z krzewów na klombach. Chwila niedługa, przejściowa: cudny, delikatny, koronkowy rysunek na tle nieba nabrzmiałych pączków, punktów na gałęziach, później malenięczych listków, nie skrywających jeszcze pokroju drzew. Pękanie pączków. Opadanie łusek. Szczególniej pod kasztanami leżą duże, ciemne, brązowe. Tu okazja do nadmienienia o celu lepkiego i kutnerowego okrycia. Ziemia zasypana bażkami, kwiatami drzew. Zaznaczyć podobieństwo do pstrych gasienic. Obserwowanie jaśniejszych, młodych gałązek drzew iglastych, stopniowo rozwijających się pączków. W tym celu obrać sobie parę krzaków i obserwować je, codziennie przychodzić w to samo miejsce. Poznać kształt, wielkość i przekrój pączków poszczególnych gatunków drzew, krzewów. Niewszystkie drzewa rozwijają się równocześnie. Najwcześniej—kasztany, najpóźniej z naszych—akacje. Wytyczanie i urządzenie klombów.

Latem: kośba, suszenie i zwózka siana. Ostrzenie kosi, charakterystyczny dźwięk. Mebelki z patyczków i kolczastych kasztanów. Pielenie klombów.

Częsta zmiana okwitłych roślin. Nasiona drzew, opatrzone puszkami, owoce klonu i t. p. Zieleń na brzegu sadzawki, iskry w wodzie na słońcu, kręgi na poruszonej powierzchni. Ogrody im. Raua. Kompas.

Jesienią pogadanka: Czemu liście opadają? Na spacerze zbiór różnokolorowych liści, kasztanów.

Wystawy sklepowe co za nieoceniony skarbiec wiedzy! Np. lalka z łowickiego, sprzedąca na kołowrotku. Sklep Wróblewskiego: ule, воск, miód w butelkach, plastry w ramkach, stoczki, kwiaty woskowe, pierniki, mały niedźwiadek, ilustracja do baśni „Jaś i Małgosia“. U kuśnierzy okazy zwierząt drapieżnych o pięknych futrach: tygrysy, białe niedźwiedzie, lisy, gronostaje i t. p. W oknach restauracji: ptactwo, zwierzyna; w składzie broni: zając,

torba myśliwska. Sklep Peschta: ptaki, zwierzęta do hodowli pokojowej, akwarja.

Ręczne drukarnie po sklepach w oczach kupujących wybijają ogłoszenia, zaproszenia, bilety. Tuż w kaszcie czcionki.

Sklep Berenta i Plewińskiego na Marszałkowskiej w pobliżu Nowogrodzkiej wystawia w oknie coraz to nowe okazy do nauki przyrody, np.: plastyczny przekrój kryjówki kreta naturalnej wielkości, rośliny mięsożerne nadnaturalnej wielkości, szkielet psa, królika, model oka, czaszkę człowieka i t. d. i t. p. Naogół kupcy w celach reklamowych coraz więcej i coraz piękniejszych dostarczają nam w wystawach eksponatów.

Ma się rozumieć, z natury rzeczy dzieci najwięcej pociągają sklepy zabawek. Nie tylko stają, ale klęczą nieraz przed nimi i pochłaniają wzrokiem coraz to nowe pomysły i subtelne oddanie w miniaturowych rozmiarach przedmiotów i przyrządów, skądinąd im znanych.

Przed „Złotym ulem“ też stacja. Wyrozumiała wychowawczyni przystaje na dłużej; nie łakomstwo dzieci tu wyłącznie wiedzie: takie ładne tam przecież i pomysłowe zabaweczki! Kiedyś idę: pocziwa pani podtoczyła pod samo okno sklepu wózek z małym wychowancem, obok trójka starszych w szybę wpatrzona. Najmniejszych uwagę wszystko pociąga. Kiedyś na Marszałkowskiej niespełna dwuletni obywatel stał zapatrzonny przed wystawą szewką. W domu nie widzi tylu i tak ślicznie błyszczących bucików. Poważna niania stoi nad nim spokojnie i nie wyrywa go z tej poważnej kontemplacji, myśląc zapewne: „Stój, głuptasku, kiedy ci tak niewiele do szczęścia potrzeba!”

Ulubionym celem wędrowek mojej siostrzyczki, noszonej na rękę jeszcze, były wypchane konie, zaprężone do powozu, w wystawie Rentla na Lesznie, przedmiotem zaś stałym zachwyty moich i brata były wiewióreczki, grające w bilard, w oknie, również na Lesznie.



Rozszerzanie wldnokręgu i szkoła życia.

Słyszałam nieraz: nie pozwalać dzieciom wpatrywać się w wystawy sklepów bławatnych, jubilerskich, szczególnie dziewczynkom, i tak próżność się w nich z czasem rozwinie, nie trzeba jej jeszcze rozdmuchiwać przedwcześnie. Czyż rzeczy piękne, estetyczne pożądlivość tylko wywołują? Jeśli, stojąc przed witryną, zamiast: „Jaka to ładna materja, takbym chciała ją kupić—cóż kiedy dla mnie za droga”, odezwie się wychowawczyni: „Patrzcie, jakie to piękne zestawienie kolorów!” Uczmy dzieci rozkoszować się pięknym kontrastem różnobarwnych tkanin czy wstążek, gorącością ich odcieni czy mdlejącą pastelowością, zarówno pięknym migotaniem rosy na żdźbłach trawy, kroplami wody w fontannie, jak brylantami kolczyków, rubinami naszyjnika, barwami tęczy na niebie po deszczu. Ćwiczmy ich zmysł estetyczny, poczucie piękna, a na prześliczną kobietę, odzianą w piękny strój letni czy balowy, prawdziwe dzieło sztuki z obłoków gazy, kwiatów, pajęczych koronek, aksamitów, patrząc będzie nasza wychowanka z podobnym podziwem, jak na cudny kształt róży czy storczyka, na drgające w tańcu rytmicznie klasyczne ciało ludzkie, jak na zaróżowiony zachód słoneczny, czy księżycową poświatę na wodzie, wolna namiętnej żądz, że piękno to koniecznie moim być musi.

Prowadźmy dzieci do świątyni o zapadającym zmierzchu: półcień tajemniczy pustej katedry i jej koronkowe kamienne ozdoby, to znów w słonecznej porze półmrok od witraży i plamy barwne na posadzce, migotanie tęczowe żyrandoli, cisza, czasem szept jakiś modlitewny, ćwierk ptaka z za okna—jakież to nieuświadomianemi, subtelny mi czuciami wzbogaci duszę dziecka.

Kształcąc poczucie estetyczne, uczmy znać i kochać wszystko, co piękne i nasze, a wzbudzimy tę szlachetną dumę, z jaką później odczuwać i kochać będzie piękno kraju rodzinnego, pokazywać miasto swoje ukochane przyjezdnym, obcokrajowcom, podkreślając z dumą i rozkoszą: „I my też mamy coś niecoś, a wyście myśleli? Patrzcie, podziwiającie i—czołem!”

Dzieci miejskie dużo czytają o zjawiskach przyrody, a znają je bardzo mało. Rzadko które z nich widziało wschód słońca, chyba z okien wagonu lub przypadkiem, obudziwszy się w nocy. Żeby się dokładnie ze wschodem zapoznać, powinny wstać na bardzo długo przed tym codziennie powtarzającym się, a zawsze cudnym, czarodziejskim widowiskiem. Niech zobaczą najpierw czarność nocnego nieba, zdobnego księżycem i gwiazdami, stopniowe jego jaśnienie, świt, brzask, zorzę rumianą i powolne wynurzanie się tarczy słonecznej z poza horyzontu. Wszystko to koniecznie na wielkiej, pustej przestrzeni, na polu rozległym.

Mało korzystaliśmy dotąd w Warszawie ze spaceru nad Wisłę. Dzieciarnia ma tu jeszcze świeższe i czystsze powietrze, niż w ogrodach publicznych i takie mnóstwo różnorodnych wrażeń!

Przedewszystkiem estetyczne: amfiteatralnie rozłożona Warszawa, ciągnąca oczy dal, zachód słońca, wschód księżycy nad wodą, wieczorem ognie na tratwach, sznury światełek na brzegach, moście, statkach...

Niech dziecko własnoręcznie rzuci do wody kawałek drzewa, a zrozumie najdowodniej, co to brzeg prawy i lewy, co w górę rzeki, do Krakowa, do początku, a co w dół, do Płocka, morza. Dalej most kolejowy i inne. Pędzenie wołów na rzeź, fury gęsi, jabłka na galarach, okazja do zwrócenia uwagi, że wieś zaopatruje miasto w żywność. Statek, łódka, tratwa, berlinka, przystanie, łazienki, szkoły pływania. Wyrąbywanie lodu na brzegu praskim. Regulacja brzegów, tamy, łacha—schronienie zimowe dla statków, łazienek i t. p. Lecz najciekawsze chyba to puszczanie lodów. Najpiękniejsza deklamacja: „Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody i rzeka porusza się gładko” nie da pojęcia o tym wspaniałym widoku, kiedy jak gdyby jakieś niewidzialne tajemnicze noże odcinają kry o prawidłowych, geometrycznych kształtach, a one szparko suną w dal. Czarodziejskie to wprost, a bezpłatne widowisko ściąga mnóstwo ludzi: białe wybrzeża unizane czarnymi sylwetkami. Czasem ruszenie kry poprzedza huk: to woda rozpiera lodową powłokę. Jakiż majestatyczny, na zawsze wbijający się w pamięć widok—przybór Wisły i jego groza!

Dzieci nasze poznają przyrodę tylko latem, a takiby wielki pożytek przyniosła wycieczka zamiejska i w innych porach roku! Ileż np. razy słyszały, że z nastaniem wiosny ciepłe promienie słońca topią bieluskie śniegi; wody występują z koryt i zatapiają okolice. A czyż wiele dzieci naszych to widziało? Znają tylko brudny śnieg, który stróże zrzucają z dachów zaraz po jego ukazaniu się. Wobec rozpowszechnienia kolejek, czyż trudno wybrać się z dziatwą za miasto np. w marcu i pokazać wiosenne roztopy na polach, rowy, pełne wody bystro płynącej, sterczące gdzieniegdzie pagóreczki, porośnię ryżą trawą, a istotnie zrozumieją jedną z przyczyn wylewu rzek.

Boże Narodzenie daje niezbyt wyzyskany temat do pogadanki: choinkę. A zatym gatunek drzewa: jodelka, sosenka czy świerk; wieczna ich zieloność, układ gałęzi i igiełek, kształt ich; pień, słoje drzewne, smolistość, lepkość, łatwopalność, drzazgi, mebelki i inne przedmioty z gałązek świerkowych, pożytek ze zgrabionego igliwia: podściółka dla bydła, użyźnienie gruntu.

A sejmy wróble, zdroje np. w Łazienkach, na Oboźnej, pod Cytadelą! Ma się rozumieć, na spacerze tylko się zwraca uwagę na to lub owo, przytym mniejszym dzieciom dużo bardzo razy można pokazać to samo, gdyż o to proszą, grupuje się zaś i systematyzuje nagromadzony materiał już w domu, w spokoju i ciszy.

Dzieci wielkomiejskie stykają się bardzo często z instytucjami, z funkcjonariuszami różnych urzędów, należy więc, przechodząc koło Poczty, Ratusza, Magistratu, Sądu Okręgowego, Towarzystwa Kredytowego, Ziemskiego lub Miejskiego, Banku, Uniwersytetu, Politechniki, Pogotowia, nie tylko wymienić ich nazwę, lecz wyjaśnić cel i potrzebę danej instytucji, zapoznać ze wszystkimi jej ogniwami, a zatym np. Urząd pocztowy: główna poczta, filje, samochody, listonosze, karetki pocztowe, skrzynki. Niech dzieci asystują przy kupowaniu marek, wysyłaniu pieniędzy, posylek; starsze powinnyby też brać rodzice, idąc załatwiać interesy u rejenta, adwokata, w Magistracie i t. p. Nie byłoby wtedy tylu niewiast, drżących na dźwięk wyrazu „awizacja“, nie byłoby tylu wdów bezradnych w chwili, gdy po śmierci męża sprawy ma-

jątkowe spadną na ich barki. Oswojenie się już od dzieciństwa z tymi instytucjami zrobiłoby je mniej strasznymi. Wyjaśniając powstanie gazety, opowiedzieć o redakcji, administracji, maszynach rotacyjnych, roznosi- cielach i t. p.

Wcześniej bardzo należy tłumaczyć przyszłym obywa- telom kraju, co jest własność prywatna, a co publiczna, należąca do ogółu ludności.

Przed Filharmonją, Łazienkami dziecko powinno z od- czuciem, dumą umieć powiedzieć sobie: to moje, nasze! Stąd niemądry byłby człowiek, niszczący rozmyślnie swoje rzeczy, a zatym nie należy śmiecić w wagonach i t. p. miejscach publicznych. Wytłumaczyć znaczenie napisów: „Plantacje miejskie poleca się opiece publiczności”, obja- śnić przeznaczenie koszy i skrzyń do odpadków i śmieci.

W miejscu spacerowym nie dlatego nie należy łamać gałęzi, zrywać kwiatów, deptać po trawnikach, rzucać papierków i ogryzków po alejach, że pilnujący ogrodu zobaczy i będzie się o to gniewał, jak często przestrzega się dzieci, lecz dla głębszej, wiele poważniejszej przy- czyny, jaką jest poszanowanie dobytku publicznego. „Nie bierz i nie niszcz nic bezmyślnie, szczególnie, jeśli to coś nie jest twoją osobistą własnością” i t. d. Takie ważne argumenty winniśmy wytaczać przed niedorośłym członkiem społeczeństwa, jeśli pragniemy mu wrazić trwałe i mocne podstawy: poczucie prawdy, uczciwości istotnej, a nie obawę tylko kary i myśl o sprytnym jej wyminięciu, a będzie już wszystko dobrze, „wszystko w porządku”.

Na ulicy jakże często okazja do pokazania dziecku ludzi wielkiej wartości duchowej, moralnej, wybitnych, których imiona słyszą w domu ze czcią wymawiane, a tak skromnie się prezentujących, przesuwających się bez hałasu w tłumie, kiedy inni, błyskotliwym strojem, głośną paplaniną starają się zwrócić ogólną uwagę i tym tylko śmiech wywołują na usta widza. Ileż okazji na spacerze, w tramwaju do kształcącego zwrócenia uwagi na zachowanie się jednych ludzi względem drugich, na przysługi, wyświadczone sobie nawzajem: np. dziewczynka pokazała w tramwaju ubogo odzianej osobie, że miejsce za 5 kop. właśnie się opróżniło; konduktor pomógł wsiąść

wiekowej kobiecie; ktoś ustąpił uprzejmie miejsca osobie, nie mogącej siedzieć w przeciwną biegowi wagonu stronę; ktoś pomógł owinać się chustką kobiecie, niosącej dziecko, podniósł i podał upuszczony, zgubiony przedmiot i podał go właścicielowi i t. d. Ale nie dość obserwować tylko, lecz i pobudzić przy okazji do naśladowania.

Jakąż dumą napęłnia serca dzieciaków załatwianie sprawunków i poleceń, myśl, że i one coś przydźwigają, przyniosły, co się wszystkim przyda, umniejszają innym pracy. Dalej, kupowanie przez dzieci wszystkiego, co im jest potrzebne, pod okiem wychowawcy uczy je samodzielności, zaznajamia z wartością pieniędzy.

Załatwianie poleceń u rzemieślników uczy dzieci więcej, niż najlepsza lekcja pogładowa. Podczas pogadanki dziecko słucha tylko opowiadania o czymś nieznanym, co najwyżej, ogląda rysunki lub nawet i modele, ale w znacznie zmniejszonych rozmiarach; tu, w warsztacie, widzi wszystko naprawdę, jak to się robi i z czego. Dzieci rodziców zamożnych, naogół brzydzące się rzemieślnikami, węglarzami, usmolonymi robotnikami, uważające ich za brudasów, ludzi bez inteligencji i wykształcenia, trzeba przekonać, że co innego niechlujstwo, a inna rzecz brud przy pracy; pokazać tych pracowników poza fabryką, opowiedzieć o szkołach niedzielnych, wieczornych, czytelnicach, odczytach, z których korzystają, o ludziach wykształconych, pracujących fizycznie, o maszynistach i t. p. funkcjonariuszach dróg żelaznych, o obsługujących piece do przetapiania żelaza, którzy nie ustępują ze swoich posterunków nawet w dniu świąteczne. Opowiedzieć, na jakie niebezpieczeństwa narażają się ludzie, pracujący w poszczególnych zawodach.

Warto zbudzić kiedy dzieci bardzo wcześnie i pokazać im, jak w mroźny zimowy ranek, kiedy na ulicach latarnie jeszcze płoną i zwykliśmy w ciepłym łóżku leżeć najwygodniej, po całym mieście już życie budzić się zaczyna, krążą wozy dostawców żywności z oddalonych nieraz bardzo okolic. O piątej już woźnica z piekarni szturmuje do sklepiu spożywczego z koszem pieczywa i spędza znów innych pracowników z ciepłych posłań, w tym celu jedynie, żebyśmy mieli do śniadania chrupiące, a broń Boże, nie czerstwe pieczywo.

Należy pokazać dzieciom, jak piekarze, w chwili, kiedy układamy się do smacznego spoczynku, zabierają się w najlepsze do pracy, śpiewając głośno, ażeby nie-dobry dla nich gość, sen, nie przeszkadzał im w robocie.

Dziecko powinno koniecznie poznawać coraz to nowe dzielnice, nie tylko najładniejsze, gdzie bogaci mieszkają—tym sposobem już na ulicy, nie wchodząc do domów, dowie się niejednej rzeczy o nierównym podziale bogactw między ludźmi.

Wejście z dzieckiem w interesie do stróża, do praczki, do nory wprost nieraz ciemnej, czyż to nie pole do wytłumaczenia, że tam duszno, bo tak dużo osób musi mieszkać w jednym pokoju, a nie przewietrzają go, bo nie chcą wypuszczać wytworzonego przez ich własne organizmy ciepła.

Czytanie książek, tak niesłusznie uwielbiane, przece-niane, wszystko jedno jakich nawet, uprawia się już i na spacerze nawet. Siedmioletni bobas, nieraz już w oku-larach do tego, dyguje księgę do Łazienek. Czyta go-dzinami, oderwać go od niej nie można lub czyta pani, która woli czytać, niż obserwować coraz gdzieś przepa-dającego ruchliwca; widziałam nawet, jak pani, spa-cerująca miarowo z pupilką, czytała jej równocześnie książkę.

Będąc zdecydowaną przeciwniczką nadmiernego poże-rania książek, tego stanowczo bezmyślnego zabijania czasu, gorąco pragnęłabym wyrugować je ze spacerów, bo spacer to ruch fizyczny swobodny, beztroski, to wyrwanie się na wolniejszą przestrzeń, gdzie z rówieśnikami można pobiegać, pofiglować, pobawić się w gry ruchowe, po-weselić i poobserwować przyrodę i życie ludzkie!

Dzieci i zbiory.

Daje się słyszeć: „Zwiedzanie muzeów, zbiorów z dziećmi to moda teraz, tylko moda”! Malca oszołomi mnogość nagromadzonych okazów, a rodzice mają okazję do pochwalenia się w towarzystwie: „Moi chłopcy widzieli już to, byli tam lub ówdzie”—nic nad to! A przecież przede-wszystkim w muzeach dzieci słyszą i przekonują

się naocznie, że byli i są ludzie, nie myślący tylko o sobie, ludzie, którzy z podróży swych poprzywozili różne osobliwe, ciekawe i cenne przedmioty, ażeby inni, nie znający owych okolic, mogli nabrać o nich dokładniejszego pojęcia.

Dowie się dziecko, że są też i tacy, którzy, posiadając po przodkach cenne i rzadkie zabytki, nie chcą się sami rozkoszować ich urokiem i pięknnością, lecz współbraci swych uczestnikami tej uczty duchowej uczynić zapragnęli... To pierwszy już dodatni i doniosły wpływ na duszę dziecka.

Dalej, zwiedzanie muzeów to korzystanie z dostępnych dla wszystkich pomocy naukowych, to ilustracja pogadanek na różnych poziomach i o różnych rzeczach. O okazy przy nauczaniu tak trudno! W niewielu domach je abonują, a tu gotowe i w tak olbrzymiej ilości! Które przytym z dzieci może mieć przy nauce model mieszkań nawodnych, urny, żarna. Zbiory należy pokazać nie raz jeden, uroczyście, celem olśnienia małych gości, zadokumentowania, że są też i u nas podobne rzeczy, lecz oglądać je często, żeby zadać kłam słowom: „Cudze chwalicie, swego nie znacie — sami nie wiecie, co posiadacie”. Pierwsza bytność w muzeum musi odurzyć, tego uniknąć nie można! Pomimo wysiłku wychowawcy umieszczenia uwagi dziecka, zajęcia go jednym wyłącznie, obranym z góry działem, nie sposób, żeby dziecko szło z zamkniętymi oczyma; musi pochwycić najjaskrawiej wpadające w oczy okazy, lecz za każdą następną bytnością trzeba tylko jedną jakąś część zbiorów uważnie i szczegółowo zbadać.

Inny jest cel i sposób pokazywania muzeów dzieciom, inny — doroślejszej młodzieży. Z dzieciarnią nie należy się zatracać w drobnostkach, szczegółach i szczegółikach: jak najmniej nazw, szczególnie imion własnych, wciąż operować pojęciami ogólniejszymi, no — i co najważniejsza chyba, sam oprowadzający powinien się orjentować jak najlepiej w danym materjale.

Weźmy dla przykładu zbiór pieniędzy w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa (Krakowskie Przedmieście 66). Nie trzeba mówić grupa za grupą szczegółowo: tu monety francuskie, tu tureckie, tu z tego wieku, tu z tamtego;

te się nazywają tak, tamte inaczej, lecz: „Patrzcie, jaki tu wielki zbiór pieniędzy różnych ludów, różnej formy, wielkości, wartości, dzisiejszych i dawniejszych”.

Poczym zwrócić uwagę na rozwój kształtu monet, wskazać nieforemne bryłki metalu, monety kwadratowe, z dziurką, wiązki żelaza, muszle nawlekane; nadmienić, że pieniądze bywają złote, srebrne, papierowe...

Pokazać stempel do odbijania napisów. Wreszcie mówi wychowawca: „Szczególniej dużo tu polskich monet. Patrzcie, tu polskie napisy, tu zaś w obcych językach: francuskie, niemieckie...” Dzieci już same odczytywać będą nazwy i dopytywać o okazy, które je zaciekały. Wobec zbiorów z krain polarnych nie mówi się: „Tu koszula Ajnosa, namiot Tunguza, buty Jakuta, sanie Eskima”, lecz: „W tej sali, w tych oto trzech szafach i tej gablocie mamy wyroby mieszkańców krain zimnych. Dużo tam zwierząt, dostarczających futer, z nich więc przygotowują sobie owi ludzie wszystkie części ubrania, pościel, namioty. Łódki nawet, lekkie, mało mają części drewnianych, powleczone są skórą. Ludzie krain zimnych dbają, narówni z nami, nie tylko o wygodę, lecz i o ozdobę: ubrania ich, kołdry i t. p. mają desenie, utworzone z różnych odcieni futer, ubrania—ozdoby z paciorków, kolorowe wyszycia. Rzeźbią z kości różne drobne przedmioty: grzebienie, minjaturowe saneczki i t. p.; przyozdabiają je rytowanymi rysunkami”.

Niejedno z dzieci ma okazję podziwiać olbrzymie zagraniczne zbiory, o ileż lepiej, jeśli pozna wpierw mniejsze nasze, łatwiej mu już później większe rozpatrzyć, orjentować się w nich swobodniej. Mając przeważnie mniej okazów w każdej kolekcji, co do jakości nie ustępujemy bynajmniej zagranicy. Weźmy dla przykładu zbrojownię hr. Krasieńskich, Zbiory przedhistoryczne Majewskiego, nasze zbiory ornitologiczne w Gabinetie Zoologicznym przy uniwersytecie. A pisanki w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa to największa kolekcja na kuli ziemskiej. Lepiej też, jeśli i u nas dziecko wpierw zobaczy zwierzęta, mieszczące się w paru szafach Muzeum Krajoznawczego, niż tyle tysięcy okazów Gabinetu Zoologicznego.

Więcej jeszcze przeciwników, niż muzea, mają wystawy sztuk pięknych. A jednak sztuka tak ważną gra

rolę w życiu mieszczucha, który coraz spotyka monumentalne budowle, rzeźby, obrazy, musi się więc wcześniej w tym wszystkim orjentować. Moim zdaniem, dziecko, chodząc na wystawy, wzbogaca sobie przede wszystkim słownik, dowiadując się bez trudu, wprost mimochodem, co jest oryginał, kopia, portret, krajobraz, płaskorzeźba, rzeźba, staloryt, minjatura. Co znaczy odlew „nadanaturalnej wielkości” i czemu on taki? Co to koloryt, rysunek jednobarwny? Poznaje narzędzia i materiały, a zatem: akwarela, farba olejna, piórko, kredka i t. p. Czasem znajduje ilustrację do pogadanek. Widać np. na obrazie zieloną dróżkę, woły w jarzmie, odpoczywającego oracza, morze, skały, góry, typy ludowe, fragmenty miast i t. p. Z dzieckiem nie bada się szkół, ale ono samo nieraz pochwyci rys charakterystyczny danej indywidualności artystycznej: „Ten pan to maluje takie ciemne obrazy” lub „tylko widoki”, ten znów „same portrety”.

Trzeba analizować z dziećmi kształty architektoniczne spotykanych budowli, rysować pałace, świątynie, kolumny, tympanony i t. p. z młodszymi, ma się rozumieć, pomijając trudne nazwy. Jako pomoc polecam 40-kopiejkowy atlas Wawrzeńskiego „Style w architekturze”, Marrené „Wakacje w Warszawie”; tu znaleźć można wskazówki do pracy w tym kierunku. Trzeba dzieciom zwrócić uwagę na żelazne kraty przy pomniku Mickiewicza, poręcz Zachęty — wogóle na piękno ręcznych wyrobów ślusarskich w Muzeum Przemysłu, płatnerskich w Zbrojowni Kraśińskich, na subtelność filigranów w zbiorach chińskich, artystyczne kształty ceramiki greckiej, etruskiej w zbiorach przedhistorycznych Majewskiego. Przypominam znów jeszcze: wszystko to bardzo ogólnie, nie zatracając się w drobiazgach.

Posiew społeczny.

Jeśli dziecko widziało zbiory, było na czytance, na pokazie, w cyrku, na wycieczce lub zabawie i doznało tam przyjemności, powinno zabrać ze sobą innym razem kolegę, kogo ze służby, poinformować towarzyszy co do dni, godzin wstępu, zachęcić taniością lub bezpłatnością

danej rozrywki, dostępnością wykładu, wielkim pożytkiem lub przyjemnością. Nie będzie to filantropja z kieszeni rodziców, podarte ubranie, popsute zabawki dla biednych, sentymentalizm, czułościowość bez prawdziwej zasługi, lecz, tak samo jak pożyczanie ulubionej zabawki koledze, prawdziwie altruistyczna działalność pod hasłem: „Co mnie dobrego, niech i tobie, mój bracie, zabłyśnie” — jeden ze sposobów budzenia uczuć społecznych, wciągania w pracę dla ogółu.

Że dzieci lubią agitować, spiskować, organizować (ma się rozumieć typy czynne), przekonaliśmy się w latach 1905 i 1906, trzeba więc zwracać uwagę na tę ich właściwość i wyzyskać ją odpowiednio. Starsi powinni powierzać urodzonym młodocianym agitatorom misję pobudzania kolegów do bywania na odpowiednich przedstawieniach teatralnych, widowiskach kinematograficznych i t. d. i t. p. Ileż razy namowa lub rada kolegi, człowieka zatym, który ma podobne upodobania, ten sam świat zainteresowań, ten sam poziom umysłowy, działa bardziej przekonująco, niż nawoływanie nauczyciela. „Panu się to podoba, ale dla nas to może nieciekawe”, myśli malec i słowa wychowawcy przebrzmiewają bez echa, kiedy tymczasem głos kolegi zawsze ma wagę i siłę!

Wychowawcy zbyt mało dbają o budzenie głębi. Wkłada się w dzieci pewną ilość zasad moralnych słowem i przykładem, nakazem i namową, mówi się im o bardzo wielu przedmiotach, zjawiskach, lecz nie zwraca należytej uwagi na wzajemne ich ustosunkowanie, na większą wagę jednych, niż drugih; za mały też nacisk kładzie się na syntezę, więcej na analizę. Moim zdaniem od czasu do czasu trzeba też poświęcić pogadankę na objęcie umysłem całokształtu wiadomości z danej dziedziny, np. Jakich już znacie rzemieślników, jakie rośliny i co o nich pamiętacie ze wszystkich naszych lekcji?

Należy uczyć odróżniać, co to jest istota rzeczy, a co cechy drugorzędne, przypadkowe lub ozdoba. W tym celu rysować kontury przedmiotów i wypełniać je ozdobami. Krzesło i jego ozdoby. Zarysy budynku z prze-ciwka i kontury ornamentów. Są też i robótki w tym celu: np. na narysowanym na tekturce Indjaninie nalepia się ozdobę z piór i złotych papierków. Trzeba też ana-

lizować przedmioty już gotowe, np. tkanina a deseń, prążki i t. p. „Moje Pisemko” a winietki, nawet punkciki, kreszczki, ozdoby i t. p. Objasniając, wychowawca opiera się na definicji (przeznaczenie przedmiotu), a zatem: wychodząc z określenia: dom jest schronieniem od zimna, wilgoci, żaru promieni słońca, istotą jego są ściany i dach, balkony zaś, kwiaty w skrzynkach lub zawieszzone w koszach na zewnątrz, płaskorzeźby na ścianach frontowych, wykusze, ozdobne szczyty, narożniki, białe parapety u okien to rzeczy drugorzędne, ozdoby.

Dziecku, kręcącemu noskiem, gdy się dowie, że ktoś mieszka w jednym tylko pokoju, kiedy jego rodzina ma osobny stołowy, sypialnię, dziecinny i t. d., trzeba pokazać jakieś małe mieszkanie, bardzo czysto utrzymane, dowodnie malca przekonać, że piękne mieszkanie nie polega na ilości pokoi, lecz na schludnym ich utrzymaniu, że czystość jest niezbędnym podłożem piękna.

Postępując racjonalnie w tym duchu, dochodzimy do tego, że dziecko-młodzieniec uczy się doszukiwać nie plamek i niteczek na ubraniu gościa, lecz istotnej wartości człowieka, nie zważając na jego nieznamość zasad światowych, powierzchowność; odczuwa gorąco, że fakt, zjawisko, osoba, wydająca się śmieszną w pierwszej chwili, powodująca wprost żywiołowy, nie dający się otamować wybuch wesołości, po bliższym jej poznaniu, po zastanowieniu się bywa nieraz wielce tragiczna.

Miłość ojczyzny a znajomość dziejów i kraju.

Nauczanie dziejów ojczystych zaczyna się zwykle od czasów bajecznych: legendy o Lechu, Gnieźnie czy Kneźnie, Wandzie, myszach popielowych i t. p. idą zatem na pierwszy ogień, potym bohaterowie: Chrobry, Kazimierz Wielki, Kościuszko, Poniatowski... Wierzy się przytym gorąco, że nasi uczniowie, dzieci polskie, wszystkie te opowieści umieszczą w pamięci gdzieś lepiej, głębiej, trwalej od równocześnie poznawanych cudnych Krasnoludków i Sierotki Marysi, od czarownych grimmowskich i andersenowskich baśni o koboldach i królewnach, bo

opowieści dziejowe mówią o dziadusiach dawnych, ziemi rodzinnej, kochanej...

Opowiadanie o dobrym Piaście-kołodzieju, szlachetnej królowej Jadwidze tkwić ma mocno w umyśle dziecka, zanim nowe dane nie uzupełnią mu tych luźnych relacji o faktach najbarwniejszych, najbardziej wrzynających się w wyobraźnię. Uważa się ogólnie, że pewne podłoże uczuciowe już istnieje, że dla dziecka wyrazy „Polska”, „Polak”, „nasi królowie”, „ojczyzna” to dźwięki, wywołujące uczucie ciepłe, miłe, słodkie, przypuszcza się, jednym słowem, że na przygotowaną nieco już rolę pada nasze ziarno. Lecz czyż tak jest wszędzie? Czy w każdym mieszkaniu na dziecko patrzy ze ścian Mickiewicz, Stańczyk zadumany, Skarga, każący w kaplicy królewskiej?... Czy w każdym domu stary dziadunio opowiada, jak przed 50 laty żalobę noszono, jak wieziono skazańców na śmierć, a wymierzano ją na placach publicznych, jak Zamojskiego zwano „królem polskim”, jak zbierano składki narodowe?

Po ostatnim powstaniu nie wszyscy ostali się mężni duchem—nastaly czasy milczenia o przeszłości. Historia Polski w podręcznikach stale była doprowadzana do końca XVIII wieku — co się przez ostatnie lat 100 z górą działo, wiedział tak mało, mało kto... Bo skąd? Z książki niecenzuralnej, zdobytej z trudem i niebezpieczeństwem, przechowywanej jak relikwia, czytowanej ukradkiem, a tak rzadkiej... z przejazdu do wód przez Kraków...

Dziś, po przewianiu prądu wolności, po postawieniu sobie w 1905 roku nawzajem pytań: „Kim jesteś, bo ja ot, to kocham, w to wierzę!” (każdy tę spowiedź odbyć musiał — nawet małe dzieci przerzucały się etykietkami, nie rozumiejąc istoty rzeczy), po Pochodzie Majowym, po ogłoszeniu aktu Niepodległości Polski sprawa lepiej stoi: w wielu, wielu serca się poruszyły, rozbudziły z uśpienia; zobaczyli też, że uczyć się dziejów narodu własnego trzeba, należy; studjują je dziś sami, dokładają starań, żeby dzieci je poznały lepiej, niż w owym nieszczęsnym popowstaniowym 40-leciu, lecz czy wszyscy? Ileż razy dostajemy w ręce dziatwę ultrafilistrów, ludzi obojętnych narodowo lub rodzin tak mało inteligentnych, że aż nieświadomionych pod tym względem!

Serduszka dzieci przeważnie są miękkie, podatne, urabiać je można, to prawda. Lecz praca w tych warunkach trudniejsza i na nią właśnie chcę zwrócić szczególnie uwagę. A zatym, kiedy się ma do czynienia z uczniem tej kategorii, obawa, żeby go nie zrazić do rodziców, wymaga roboty delikatnej, subtelnej, przystąpienia do nauki o przeszłości nie od pierwszego dnia, lecz dopiero po pozyskaniu zaufania. Gdy dziecko przywiązało się już do wychowawcy, tym samym ufa mu, wierzy, podziela patryjotyczny smutek czy dumę kierownika, co on kocha—kochać zaczyna...

To „zarażenie”, że tak powiem, „uczuciem”, jest czynnikiem bardzo ważnym. Lecz bywają dzieci o umysłach trzeźwiejszych, zimnych, z którymi oporniej idzie się drogą sentymentu. Dzieci to, podlegające współcześnie przeciwdziałającym wrogim wpływom, które studzą temperaturę uczuciową; w takich razach trzeba udowodnić dotykalnie, że ta przeszłość rzeczywiście istniała, a obecne uczucia, zapatrywania, dążenia Polaków są jej dalszym ciągiem. Niech dzieci zobaczą jak najwcześniej martwe, lecz namacalne dowody, że kiedyś niepodlegli Polacy trzęśli wielką połacią Europy, że drżeli przed nimi sąsiedzi, ślali do nich posłów, podarki, szukali przyjaźni, opieki, przysięgali pokornie na wierność...

W każdej okolicy są pomniki, tablice po kościołach, ruiny; po muzeach ryciny, portrety, monety i t. p. ślady materialne dawnych czasów—trzeba je tylko pokazać dzieciom i objaśnić przystępnie.

Ot, dawniej, gdybyś tak w Warszawie szedł tuż koło Zamku, zobaczyłbyś może: mały królewicz wygląda oknem. A może zawołałby cię do zabawy?...

Innym razem przechodzisz ulicą: karoca królewska sunie. Jedzie król, królowa, królewicze i królowny; przechodnie z miłością i uszanowaniem obnażają głowy przed swoim królem, kochanym...

Co to jest słuchać opowiadań, a co zobaczyć pamiątki, przekonałam się o tym na sobie. Dzieckiem słuchałam, co wieczór nieomal, przedewszystkim opowiadań o partyzantce styczniowej (po uprzednim obejrzeniu się, czy drzwi i okna zamknięte, czy kto nie podsłuchuje, miła puścizna doświadczenia powstaniowego), lecz kiedy, ma-

jąc już z górą lat 20, po raz pierwszy w życiu wyszłam na Rynek Krakowski i przeczytałam na jednej z kamienic: „Tu mieszkał Tadeusz Kościuszko, oficer artylerji”, zobaczyłam kamień w miejscu, gdzie, według tradycji, przysięgał, ujrzałam wieże kościoła Marjackiego, dalej groby królewskie, komnaty zamkowe, Skałkę, kiedy owionęła mnie starożytna atmosfera Krakowa, jego murów, pamiątek, kiedy dotknęłam się tego wszystkiego i przekonałam, że wszystko, z opowieści znane, rzeczywiście na miejscu, jak przed wiekami, stoi, jest, trwa, poczułam się tak jakoś dziwnie, jakbym po raz pierwszy w życiu usłyszała o całej drogiej przeszłości, o władnął mną nastrój dziwnie święty, uroczysty...

Trzeba dzieci zapoznać z działem historycznym Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, ze Zbrojownią Krasińskich, zbiorami Bersohna, Chojnowskiego w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, nie zatracając się przy objaśnieniach w drobnostkach, ogólnikowo.

Zasobną skarbnicą pamiątek przeszłości są kościoły, niedoceniana — Powązki, a na nich grób Pięciu Poległych, piękne pomniki: Prusa, Promyka, Dygasińskiego, Godebskiego, Glogera i tylu, tylu innych zacnych Polaków. Opowiadanie o tych pamiątkach zmusza do przeskakiwania z epoki do epoki, lecz w pierwszym podobnym zapoznaniu nie może być mowy o chronologii, chodzi tylko o to, żeby dziecko wszystkimi fibrami poczuło, że Polska była i jest rzeczywiście. Kto ma głęboko wyryte w duszy, że jest Polakiem, kto kocha wszystko, co dotyczy jego ojczyzny, nie uspokoi się nigdy w sumieniu swoim, nie zdobywszy na własność, nie przyswoiwszy tego, co prawy syn ojczyzny umieć powinien: nie wcześniej, to później pozna gruntownie język ojczysty, literaturę, historję, sztukę, filozofję, pamiątki narodowe, gdy tymczasem dzieciak lub młodzieniec z uśpionym poczuciem patryjotycznym po przebyciu musu szkolnego złoży dane, wiadomości, dotyczące Polski do jednej z szufladek, równoznacznej z wiadomościami z innych dziedzin, a tam nieraz one przypleśnią lub wysuszą się, sproszkują i... zwolna częściowo ulotnią, nie zasycane nowymi zapasami.

Wychowawcy powinni by korzystać z wycieczek po Warszawie, urządzanych przez Towarzystwo Krajoznawcze w niedziele i święta. W celu zapoznania się z pamiątkami Warszawy powstała tam Sekcja Miłośników Starej Warszawy, a Sekcja Wycieczkowa organizuje wycieczki, celem zapoznania z drogami dla Polaka miejscowościami, rozrzuconymi po ziemiach Polski.

Z działalnością Towarzystwa Krajoznawczego można się zapoznać bliżej na zebraniach miesięcznych, na które dopuszczani są wprowadzeni goście. Pomocami dla wychowawców będzie organ Towarzystwa Krajoznawczego, tygodnik „Ziemia”, Encyklopedia Staropolska Ilustrowana, Tygodnik Ilustrowany, Świat, z wizerunkami pomników, portretów, pałaców, scen historycznych, krajobrazów i t. p.

Kształcenie przez czynności.

Należałoby wstrzymać się z nauką książkową różnych przedmiotów do chwili nabycia pewnej biegłości, śmiałości i wprawy w czytaniu, na co zbyt małą stanowczo powszechnie zwraca się uwagę.

Za dużo daje się dzieciom bawić, zanim nauczą się biegle, wprawnie już pisać kaligraficznie. Tym sposobem, co się na kaligrafji zrobiło, psuje się na innych lekcjach. Nad każdym ćwiczeniem piśmiennym należy się poważnie zastanowić, czy potrzeba, a nie przesada czasem, szablony je dyktuje. Dużo ćwiczeń, przerabianych piśmiennie, możnaby odrabiać ustnie. Z nauką pisania nie należy śpieszyć, a prowadzić ją systematycznie, powoli, prawidłowo, równocześnie zaś posilkować się ruchomymi literami, jedną z pomocy naukowych, rzadko stosowaną, a zasługującą bardzo na szerokie rozpowszechnienie.

Mówię tu o kilkucalowych tekturowych prostokątach, zaopatrzonych z jednej lub dwóch stron w czarne wielkie drukowane lub litografowane litery. Sprzedają je przede wszystkim w księgarniach i składach gier pedagogicznych po kilka alfabetów w pudełku. Można je nawet przygotować w domu, używając w tym celu pudełek z tektury ściślej w dobrym gatunku. Robota to wcale

nie trudna, wymaga jedynie akuratrości — mogą się nią zająć dzieci same: starsze powinny rysować kontury, młodsze — zapełniać je atramentem lub czarną farbą.

Pospolicie litery ruchome używane są w pierwszych tygodniach nauczania w celu ułatwienia dziecku nabycia umiejętności łączenia dźwięków w słowa i naodwrot: dzielenia wyrazów na składające je elementy, a także, ażeby wpatrywanie się w olbrzymie wyraźne litery utrzymywało dokładnie w pamięci ucznia ich kształty. Moim zdaniem, stosowanie liter ruchomych ma zakres bez porównania większy. Racjonalna metodyka kładzie nacisk na równoczesne prowadzenie nauki czytania z pisanem, każdy uczący jednak stosuje tu naukę pisania raczej, jako rysunek, jako nieudolne kreślenie konturów liter, a systematyczna kaligrafia długo na kreskach i strychach poprzestać musi.

Czytanie posuwa się znacznie prędzej od pisania, które odbywać się przytym powinno wyłącznie pod okiem kierownika (dziecko w początkach nauki, pisząc samodzielnie, psuje tylko robotę nauczyciela), a tymczasem uczeń niecierpliwi się potrosze, radby prędzej widzieć owoce swojej pracy, ołówkiem lub kredą wypisuje wprawdzie, gdzie popadnie, dziwolagi, nikt ich jednak, niestety, z niewtajemniczonych nie może odcyfrować. Ruchome litery w części zaradzić tu mogą.

Jak mile np. pogłaszcze ambicję berbecia nasz rozkaz: „A teraz dyktando!”, (starsze rodzeństwo imponowało mu dotąd tymi dziwnymi, niezrozumiałymi terminami) i nasz uczeń, zamiast nurzania łapiąt w atramencie, z całą powagą wyjmując z pudełka alfabety i śmiesznie poluje na r, to znów c, które mu pod samą rączką leży. Pudełka zawierają litery wielkie i małe i znaki przestankowe, można więc najprawidłowiej dyktando przeprowadzić. Przy pomocy też liter ruchomych może mały uczeń samodzielnie, jako „zadaną” lekcję, ułożyć parę wierszy lub pewne poznane już, a trudniejsze pojedyncze wyrazy podług książki, co znów napędza go dumą, że potrafi już „przepisywać” (alfabety miewają i litery pisane, co potęguje iluzję).

Szczególniej wielką mają wartość ruchome litery, kiedy trzeba równocześnie pracować więcej niż z jednym

dzieckiem, przytym o rozmaitym zaawansowaniu. Kiedy uwaga nasza w danej chwili szczególnie skupiona być musi na starszych dzieciach, młodszemu od czasu do czasu rzucamy wyraz do ułożenia.

Tak zwana zabawa w „drukarszą”, uprawiana i przez dorosłych, bez porównania lepiej idzie przy pomocy liter tekturowych, niż wycinanych z gazet. Każdy z graczy otrzymuje kawał gazety i z wielkich liter, czerpanych z ogłoszeń, układa wyraz w sekrecie przed towarzyszącymi zabawie, następnie miesza wybrane litery i podaje upatrzonej osobie do odgadnięcia. Można układać i całe zdania, ale wtedy każdy wyraz, jako osobną gromadkę liter, podawać należy. Jest to dobre ćwiczenie ortograficzne. Litery, wycięte z gazet, przy lada poruszeniu, wybuchu śmiechu, skutkiem lekkości rozpierzchają się, czego nie bywa przy używaniu liter tekturowych. Dowcipnie dobrane zdanie, wyraz i umiejętne skierowanie do właściwego adresata wywołują wybuchy serdecznego śmiechu, jak również komiczne kłopoty odgadującego: „Gdyby tu było z, jużbym miał wyraz!” lub: „Po co to b?” „Już doprawdy nie odgadnę, to pewnie jakieś nieznane, rzadko używane słowo!” a okazuje się, że to nazwa najzwyczajniejszego przedmiotu, służącego do codziennego naszego użytku.

W mieście dzieci więcej mają do czynienia z pieniędzmi, niż na wsi, wobec czego trzeba zapoznać je jak najwcześniej, najpierw z miedzianymi monetami, potem ze srebrnymi. Przygotować krążki z papieru, tektury i opatrzyć odpowiednimi napisami. Również pożądane jest wczesne zapoznanie z miarami i wagami. Niech dziecko sporządzi łokieć z mocnego papieru, podzieli go na półówki, ćwiartki, cale; mierzy nim domowników, sprzęty, pokoje. Pud, funt, łut, garniec, kwarta, półkwaterek, kwatereka; mierzyć nimi wodę, piasek i t. p. Często bardzo dzieci przystępują do systematycznej nauki z dobrym pojęciem o sporych liczbach, trzeba zwracać uwagę na tę nierównomierność zaawansowania i wyzyskać ją odpowiednio. Tekst zadań dla dzieci bynajmniej nieoobojętny: dobrze brać przedmioty do liczenia z, pogadanek, nietylko na samym początku nauki.

Wogóle liczyć jak najwięcej pamięciowo, bez pisania. Za mało stosowane są obliczenia w przybliżeniu, a przecież mamy z nimi do czynienia stale w życiu codziennym, np. nie cały łokieć, mniej więcej funt i t. d. Uczmy też kalendarza na kostkach ręki. Podług kalendarza ściennego obliczajmy od czasu do czasu długość dnia i nocy; tym sposobem praktycznie się już dziecko zapozna z różnicami między porami roku przed systematycznym kursem geografji astronomicznej. Obliczajmy, ile pozostaje dni, tygodni do wakacji; ile dni, tygodni do końca miesiąca i ile już upłynęło i t. p. przykłady, związane z życiem, z początku codziennie przy zapisywaniu daty na książkach, w dzienniczku.

Nenia.

(Próba charakterystyki dwuletniego dziecka)

23-ci, 24-ty i 25-ty miesiąc swego życia spędziła Nenia u nas. Przed paru miesiącami mama jej, posługaczka, odeszła, więc i Neni niema, niema naszej „współpracowniczki”. Nazwa ta najlepiej ją maluje, Nenia nie bała się bowiem, lecz już to brała udział w pracach naszych, już to je naśladowała.

Pani robi zacierki. Nasypała już mąki na stolnicę, w stożku robi niby krater wulkanu, ma właśnie sięgnąć po jajko. Małeńka, która śledzi wszystkie czynności pani, już woła: „woda”. „Dobrze, że nie miała gdzie kubka” — odzywa się mama Neni — jużby złapała i sama naląła, jak w domu nieraz”.

Mama szoruje kuchnię, statki, Nenia szczoteczką od rąk pucuje podłogę, wykwitowano ją tylko z wody. Pani często czyta, Nenia bierze do ręki jaki papier i „be, be, be”, jak pani. Druga pani wyciera suknem podłogę, Nenia leży na ziemi, też pracuje i powtarza: „wanna dogą”, ładna podłoga. Dostała wprawdzie do zabawy metalowe pudełeczko, a w nim „gochy”, groch, ale rzadko nim potrząsa, czasem tylko biega z dzwonkiem po pokoju.

Pani chciała ją wciągnąć w zabawę: dała jej kołeczków od paczek, rozkładała je na podłodze, toczyła duże

włoskie orzechy, lecz takie bezcelowe roboty nie przykuły jej uwagi. Pani kroi w saloniku materiał na podłódze, Neniusia bardzo tu potrzebna: wyciągnęła się na ziemi, jak długa, właściwie, jak krótka. Zamiata kto podłogę, Nenia musi też zamiatać, niesie „śmietniczkę”, szczotkę. Pani szyje na maszynie, Neniusia chce zaraz koło obracać, szyje, domaga się bezowocnie nożyczek.

Nenia to nie małe dziecko, do którego przyrósł epitet „bawiące się”, to embrjon człowieka czynu i energii. Ruchliwa wielce, chwileńki nie usiedzi spokojnie, nie zamysła się; nic z marzycielstwa, wszystko praktyczne, zmierza ku jakiemuś realnemu celowi.

Żywiec-Neniusia ma przytym twarzyczkę bardzo poważną. Parę zaledwie razy widziałam ją śmiejącą się głośno, rozbawioną: raz, np., kiedy umykała rączkę przed ubierającą ją w szubkę mamą i uciekała przed nią do „swego” kącika między piecem i otomaną.

Neni smutek to odbicie smutku mamy: tatę zabrali do wojska, a nie wziął ślubu i teraz mama, jako nieaktualna rezerwistka, do stałej nawet zapomogi rządowej nie ma prawa. Musi posługiwać, jest chmurna, jak noc listopadowa, zdenerwowana, biją maleńką. Nenia coraz na jakimś kawałku papieru pisze „śt taty”, list do taty. Większą część dnia przebywają obie z mamą u „pani”, właściwie u trzech pań, resztę czasu w domu własnym, t. j. w kącie, dzielonym z dwiema innymi rezerwistkami, z dwójgiem mniejszych jeszcze od Neni dzieci.

Neniusia ma „paczka”, obrzydliwą lalkę, chłopaka z gałganów o strasznej twarzy, i lalę celuloidową ze zgniecionym policzkiem. Wszystko, co współlokatorki rezerwistki robią ze swymi dziećmi, Neniusia naśladuje z „paczkiem” i „lala”: układa ich w łóżeczku, otula, daje im pierś, przytym nachyla się nad leżącym na łóżeczku „paczkiem” tak bardzo, że robi się karmazynowa; obsypuje lalki proszkiem, to znów ustawia w pozycji kłęczącej, nosi po pokoju, usypia.

Dwa te środowiska przyspieszają rozwój Neni, dziwny też wytworzyły język. Słyszy coś np. o pójściu „na górę”, wyciągnęła więc duży kosz od węgla i przy drzwiach kuchennych mówi: „Fuśta, posi”, otworzyła, Nenia prosi. Nazywa się „Stośka”, Ostrowska. Upaja się rytmem pew-

nych słów, powtarza je tonem śpiewnym, melodyjnym. Kiedy słownik jej składał się z kilkunastu słów: cicipia, cici, bibi i t. p., upodobała sobie zwrot: „posia mama, mama posia”, mama poszła, później lubiła powtarzać: „Mama Lesia (Olesia), Nenia panna; mama Lesia, Nenia panna”. Wspominając jedną ze swych małych współlokaterek, powtarza często: „Jadzia be, Nenia cacy! Jadzia be, Nenia cacy!”

Słowa przyswoiła sobie w najrozmaitszy sposób: często chwytając pierwszą i ostatnią sylabę, np. „poszki”, „pończoszki”, „poszka”, „poduszka”. To znów koniec wyrazu, np. niezagotowana, „wana”. Kawa to „fawa”, k wy-mawia znów wyraźnie w nazwie ulubionej potrawy „kaszka”. Słowa o nagromadzeniu spółgłosek upraszcza: „kap i pak” to karp i szczupak, „kule”, kurjer, „wanna busia”, ładna kolebusia, „iczki”, rękawiczki. Przyimków nie używa: „Mama góły”, mama poszła na górę. Ale też kiedyś krzyknęła: „Mama budy”, kiedy się rozgniewała, bo słyszała, że tak pomstują na „feśka”, Muszkę-Stelkę, dwóch imion psinę, zachodzącą do kuchni. Poza mianownikiem rzadko używa innych przypadków, np. „Neni baty”, herbaty. Uznaje wyrazy dwusylabowe najwyżej. Odczuwając melodię słowa, a nie mogąc złożyć „Matka Boska”, mówi: „Bośka — Bośka”.

Czasem wynikały nieporozumienia czysto językowe: posługująca się wyłącznie jedno i dwusylabowymi wyrazami, Nenia woła: „mogie, mogie”, kiedy, zaczerwieniona z wysiłku, nie może czego wykonać. Często np. słyszy: „Nie będziesz płakać?” „Nie będziesz ruszać kwiatków?”, na co z doświadczenia wie, że trzeba odpowiedzieć: „nie”, inaczej sprawa się nie załagodzi, na pytanie więc: „Będziesz grzeczna?”, odpowiada z całą stanowczością: „Nie”. Kiedyś pani, mieląc kawę, daje jej ziarneczko, mówiąc: „Patrz, Neniu, kawa”, ale Neniusia inaczej kojarzy, od-piera więc: „gochy”.

Pod koniec naszej znajomości Neniusia ułożyła już sobie historyjkę, którą rada powtarzała: „Dziad dzieci wolka, buk wody”. „Paczkowi” i „lali” w roli piastunki śpiewała piosenkę: „A a a, mama cici da. Feś kienkie, pada tam, lozi”.

Nenusia ma słuch muzykalny: tak ślicznie naśladuje świst lokomotywy, że często musi swoje „siuut” na życie powtarzać (mieszka w pobliżu dworca kolejowego). W „kukuryku”, reminiscencji letniego pobytu na wsi, gdzie dawała jeść kurom, uchwyciła zasadnicze podstawowe tony i dźwięki. Na piękno plastyczne, przedewszystkim na kształt, ma oczy szeroko otwarte. Drzwi mają staroświeckie zawiasy w kształcie klucza wjolinowego. Nenusia upatrzyła tu podobieństwo do długich szyi ptaków i z zapalem je obcałowuje, wykrzykując: „Pta-ptal!”

Pani starsza zabawiała ją któregoś dnia cieniami rąk. Innego wieczora Nenia prosi pana. Ten tego nie potrafi, ale cień jego zakrzywionej laski na piecu przypomina znów Neni szyję drobiu i z rzechotaniem: „tapszek” wspina się na paluszki i usteczkami przywiera do cienia na białych kaflach pieca. Prześliczny rodzajowy obrazek, fantazja podobnego podsunąć nie może artyście.

Zabawiać Neni obrazkami nie potrzeba, nie zna, co nuda, ale chcąc odwrócić jej uwagę od niebezpiecznego dla niej zajęcia, przerwać płacz, pani pokazuje jej obrazki, żurnale mód, zwraca małej uwagę na rysunki, odtwarzające znane jej dokładnie przedmioty. Po każdym odkryciu podobieństwa, że to rzeczywiście na papierze nóżki, buciki, rączki, Nenia z uciechy rechocze, obcałowując żurnale. Czasami dostanie do ręki jaki reklamowy obrazek na wierzchu pudełka. Przygląda mu się, całuje go, wreszcie drze. Kiedyś ucieszyła się bardzo, kiedy zaapercepowwała, że żywy pan ma też „woczki”.

Obrazek dla Neni, jako coś dostarczającego świeżych wrażeń, jest zbyt cenny, prawdziwe życie tak ją absorbuje, tak bada je bezustannie, że blade jego odbicie przy pomocy barw i cieni jest dla niej zupełnie zbędne; nie marzy, świat fantazji zamknięty jest dla niej.

Bardzo się lubi stroić. Za nowe trzewiczki całowała gorąco szewcową w sklepie, każda znaleziona szmatka musi być uwiązana jako „kaldka”; sukienka, śliniaczek, fartuszek przyjmowany jest nieartykułowanymi dźwiękami, radośnie trzepoczą się nóżki, rączki, cała osóbką o jasnych, jak z peli, włosach, ciałku jędrnym, jak rzemień, i niepięknych rysach. Oczy tylko dosyć ładne. Szcze-

gólniej pięknym wydał mi się ich szafir w pełnym świetle na placu, gdzie rozszerzonymi źrenicami badawczo studiowała ruch uliczny.

Obserwuje uważnie. Kiedy kto do mieszkania wejdzie, Nenia umieszcza się w dogodnym miejscu i z wielką uwagą zabiera się do przyglądania. Jest towarzyska, obecność gościa pobudza ją do szybszego biegania po pokojach, a głośna rozmowa do głośnego szczebiotu, co się dla niej smutno kończy, bo zostaje ewakuowana do kuchni, a tam drzwi zamknięte, komunikacja z pokojami przerwana. Inne znów zabawy na tamtym terenie. Kiedyś wybiła śniętą rybę polanem i oświadczyła, że „iba płacze”, ryba płacze, t. j. powinna to była zrobić według jej przekonania.

Z początku, uwijając się po mieszkaniu, nie interesowała się bliżej powierzchnią stołu obiadowego; wyjątkowo małąkami nóżkami ostrożnie windowała się poprzez progi, których istnienia wprost nie odczuwamy nawet, takie są niskie. Kiedy podrosła, wspinając się na paluszki, usiłowała ściągać z brzegu stołu różne przedmioty, zaczęła bardzo zręcznie po małych stołeczkach wdrapywać się na krzesła, zdobywać sobie wszelkimi środkami miejsca na kolanach siedzących przy jakim posiłku osób. Wyciąga łapiny, ale to nie pomaga, całuje w ręce, w kolano, gdzie sięgnie. mówi: „prosi”, prosi. Pani, zajęta, szyje, Neniusia niedawno dostała ciepłą szubkę, tłumaczy więc jej, że niema czasu i Neniusia powtarza niby to ze zrozumieniem: „Pani dzieci ubki się, dzieci zimno”, ale usiłuje się wywindować na kolana, mówiąc: „Pani Nenie wienie!” (weźmie), „Pani Nenie wienie!”

Pod koniec mądralina sama pani starszej przynosiła podnóżek lub dziecinne krzeselko do wsparcia nóg, a potem już miała tron gotowy. Z jaką tryumfującą miną spogląda po wszystkich współbiesiadnikach: „I ja tu jestem, jak wszyscy”.

Bożę traktowała bardzo poufale: w kościele biegła do ołtarza i wołała: „Będzie tata, będzie tata”, różne dewocjonalja obcałowywała. Wogóle całuje bardzo często. Ośmielam się wątpić, czy tak to bardzo lubi, raczej uważa całusy, jako środki do osiągnięcia celu, podobnie jak i słowo „prosi”. Pani starsza rozpoczęła z nią tresurę od

tego słowa. Eniusia upierała się, upierała, mówić go nie chciała, lecz odkąd pojęła, że tym słówkiem można osiągnąć tyle smacznych i miłych rzeczy, szafuje nim nader obficie.

Najczęściej jednak używa wyrażenia „ne cie”, nie chcę, i to ni stąd, ni zowąd. Pani chciała się przekonać, jakie i ile takie bobo poleceń samodzielnie może wykonać. Przynieś kalosze! Odnieś kalosze! Zanieś mamusi te papierki do kuchni. Neniusia pracuje, nieraz wielokrotnie powtarza jedną czynność, wtym gdzieś, kiedyś, niewiadomo dlaczego, wykwita „ne cie”, na które niema rady.

Ma dobre serduszko. Starsza pani miewa krwotoki nosem. Nenia ze współczuciem przypatruje się i powtarza: „Pani kuku nosia”. Ponieważ na kuku tampon z waty pomaga, Nenia, obita w domu, skarży się u pani na „kuku” i, nie zaobserwowawszy dobrze, kładzie watę... do buzi. Innym znów razem, kiedy pani starsza, zdenerwowana trzaskiem karabinów maszynowych, płakała, maleńka przyniosła jej na pociechę laleczkę.

Neniusia ma swoje straszaki: chłopiec od stróża przyszedł po obiad dla pana; kobiałkę, w chwili wkładania w nią garnków, rozszerza; Neniusia myk do pokoju, wzięła ją obawa, czy nie zabiorą jej do tej „tolby”, ale kiedy operacja ta powtarzała się często, obcego chłopaka widzi codziennie, nabrała prędko śmiałości, spoufaliła się ze stróżakiem.

Niegrzeczną Nenię miała zawsze Muszka-Stelka ugryźć w nogę. Z czasem dziewczynka przestała się tego lękać. Niegrzecznej Neni Stelka ma zabrać szubkę; o to Neniusia najwięcej się boi, telepie się do kuchni sprawdzić, czy „upka jesi”, szubka wisi, bo „upkę” ciepłutką dostała niedawno, przedtym nosiła tylko włóczkowy kaftanik. „Upka jesi”, bo Nenia już grzeczna i Stelka odniosła.

Do jednej tylko z pań ma niewielkie zaufanie, gdyż obserwuje ona maleńką, zachwyca się jej inteligencją, robi na niej doświadczenia, ale nie bierze na kolana, nie pieści, nie całuje, najwyżej w przystępie dobrego humoru, wybitnie niemuzyczna, tańczy dziki taniec apaszów z niezbyt mocno trzymającą się na nogach Enią. Pani spogląda na maleńką z podziwem, jak pierwszy raz w życiu patrzyła na morze, oryginalny modlitewnik z XV wie-

ku, meduzy, jak oglądała rysunki syberyjskich Gołdów, ioh „burkhany”. Całym zaufaniem zaszczyca maleńka wszystkich innych domowników; musi czuć ciepło czyjegoś dotknięcia, całować i być całowana. W głosie owej pani odczuwa lekki podźwięk ironji. Pani nie kocha, pani widzi wciąż maleńkość Neni i swoją dorosłość i tak to panią bawi! Pani bawi się Nenią!

Neniusia w dzień jest układana do spania. Dosyć to zmusna operacja: trzeba przy niej głowę ułożyć, śpiewać. Budzi się zawsze z płaczem, krzykiem — czyżby rzeczywistość wydawała się jej tak bardzo inną, tak okropną w porównaniu do nawiedzających ją mamideł sennych? Ciekawam bardzo, czemu płacze, lecz bardziej jeszcze zrozumieć nie mogę, jak można nie odczuwać piękna, uroku dziecka, powierzać maleństwo piastunkom, bonom, nauczycielkom, zupełnie, całkowicie, kiedy ono daje cały ocean niezbrodzony wzruszeń, myśli, radości, wywoływanych budzącą się chwila za chwilą duszyczką dziecka, jego inteligencją. Dla paru nas, dorosłych osób, w miesiącach straszniejszych, niż obecne, beznadziejnych pierwszych miesiącach wojny, była Nenia jasnym promykiem, szczebiotką, rwącą maluchną dłonią na szmatki zwoje ponurego, pełnego grozy nastroju.

W saloniku lustro sięga do ziemi. Maleńka wygodnie i wyraźnie widzi w nim odbicie swojej osóbkki. Coraz się ktoś do niej odezwie: „Patrz, Neniu, tam druga Nenia! O! patrz!” Długo maleńka nie reagowała na podobne odezwania się — wreszcie zaperzona woła raz po raz: „Jadzia! Jadzia!” (t. j. jej mała towarzyszka). Ale... ma pewne wątpliwości, któreby rada rozstrzygnąć: stawia dziecinne krzeselko przed lustrem, robi najrozmaitsze ruchy rękoma. Widzi odbicie swoich gestów, powtarza je wielokrotnie i... dojrzone w lustrze gniewa ją najoczywiściej. Któregoś dnia ogromne polano przydygowała z kuchni i brała się już do bicia trema. Nasza Neniusia ma swój własny pogląd na świat, określiła już swój stosunek do niego: ona to jedna, niepowtarzalna, jedyna istota, drugiej takiej Neni na świecie niema i być nie może!

Żywe srebro, ciągle w ruchu, rzadko staje przed krzesłem, które jej za stół służy, bawi się czymś, co jej świeżo w ręce wpadło. Krzesło przy ścianie, tyłem zwrócona

do obecnych, zdaloby się dosyć zajęta, nigdy jednak domyślić się nie można, co usłyszała, co zrozumiała, skombinowała z toczonych przy niej rozmów—zupełnie jak z pewnego typu głuchymi, którzy, niewiedomo dlaczego w danym momencie, ku ogólnemu zdziwieniu, usłyszą dane słowo, a inne nie. Wogóle twarzyczka jej mało ma wyrazu: rzeźbiarz-życie nie wymodelował jej jeszcze, ciekawsze są jej ruchy, czynności, odezwania się.

Idzie np. ulicą z mamusią. Spotykają mężczyznę, kobietę, dziecko. Nenia głośno orzeka: „Mama, tata, cinka”.

Ma bezgraniczne do ludzi zaufanie, nie spotkały jej jeszcze najwidoczniej zawody. Do widzianych pierwszy raz osób wyciąga rączki, dzieci za ręce bierze, biega z nimi. Siedzimy przy obiedzie. Interesant wchodzi. Prosimy, żeby poczekał w sąsiednim pokoju. Ciekawska Nenia idzie poznać nowe indywiduum i tak się koło niego kręci, że prawdziwie zabawia nam gości. Po chwili już siedzi u obcego na kolanach, gość przykłada jej zegarek do uszka i t. d. i t. p.

Dziś, kiedy ma dwa i pół roku, niechętnie zawiązuje nowe znajomości: dużo czasu spędza z matką po komitetach, kuchniach i placach publicznych, gdzie obcy ludzie poszturgiwali ją najwidoczniej.

Oczy ma teraz bez porównania szerzej rozwarte, takie duże! Czyżby od ciągłego przebywania na wielkich, otwartych przestrzeniach, obserwowania coraz to nowych zjawisk, osób, przedmiotów?

Wszędzie się wciśnie. Najlepiej, gdzie najciaśniej, pod pachę komu główkę wsunie, zawsze oparta o kogoś całą osobką, może to wynik potrzeby większego ciepła w młodziutkim organizmie.

Czasem wymyśla zabawy: wszyscy domowi pracują w jasno oświetlonym pokoju. Ruchliwa Nenusia przebiega coraz do większego, ciemnego. Tu chowa się w najciaśniejszy kącik, np. między stoliczkiem nocnym a łóżkiem. Chce, żeby jej szukać, ale jakoś nikt się nie zjawia, bo wszyscy są zajęci, i pomysłowa Nenusia zaczyna płakać w ciemności, trzeba ją iść wydostać z ukrycia, które wzbudza w niej najwidoczniej strach.

Dostała do zabawy ołówki i karteczki. Pokryła je gryzmołkami szybciej i sprawniej, niż naczelnik wydziału,

kiedy kolejno podpisuje podsuwane sobie papiery. Śmieci na podłodze. Pani każe odnieść papierki do kuchni. Neniusia zaczyna biegać, ale za każdym razem z jedną karteczką, nie inaczej. Nie domyśla się, że możnaby to załatwić odrazu.

Lubi, kiedy pani otwiera drzwi do pokoju, służącego za spiżarnię. Neni zawsze się tam coś okroi, przytym często dostaje coś do przeniesienia. Kiedy jednak dać jej po małym jabłuszku w każdą rączkę lub po pomidor-ku, widać w niej pewien wysiłek w celu skoordynowania ruchów.

Neniusia woła jeść. Grzeją jej mleczko w rondelku. Stoi przy kominie, pokazują jej mleczko: „Patrz, Neniu-siu, mamusia mleczko grzeje, zaraz będzie, dobre, ciepluchne!” Ale tego Nenia przy całej swojej mądrości pojąć nie potrafi, powiązania tych wypadków zrozumieć nie może. Płacze i płacze, ale nie z głodu przecież, bo łatwo bardzo byle zabawką udaje się myśl jej w inną stronę skierować.

Neniusia to czyścioszek. Wypadeczków nie miewa, biegnie zaraz do kuchni. Jak tylko kto orzeknie, że rączki brudne, pędzi je myć. Czasem, zawyrokowawszy, że jedna rączka powalana, pluje na podłogę z obrzydzenia, tupie na nią nóżkami, jak na coś, wstręt budzącego. Z noskiem też z krzykiem zmiata do kuchni.

Nenia była na letnim mieszkaniu, kiedy tatę na wojnę zabrali. Nie pożegnał jej nawet, a teraz już tyle tygodni nie pisze. W malusim jej mózgowiu zaciera się zwolna pojęcie „tata”, utożsamia je z szerszym: „mężczyzna” i każdemu „tacie” łapiny podaje, żeby ją wziął na ręce, na ulicy zaczepia, a... może ona wciąż jeszcze taty szuka, czeka i... tęskni.

Kiedy „pan” odchodzi, wybiega za nim na schody, twarzyczka jej przybiera niezwykle bolesny wyraz. Czyżby się obawiała, że i ten też nie przyjdzie, czy przeczuwa możliwość nowego rozstania na zawsze i obawia się jej? Wprawdzie mama podtrzymuje tęsknotę Neni, wspominając wciąż o tacie, o braku wieści, płacząc—jednakże, że maleńka tak długo pamięta, dziwi to nas bardzo.

Inne okropności wojny nie istnieją dla niej: turkot aeroplanów ponad domem, szcęk karabinów maszyno-

wych z sąsiedniej posesji. Jedni wybiegli przed bramę, drudzy płaczą, modlą się. Ktoś chce przy tej okazji wzruszyć, czy moralizować maleńką, czasem miewającą muszki w nosku: „Widzisz, Neniu, jak się to Bozia gniewa”, ale Nenia przechyla figlarnie główkę i, jak do każdego, kogo chce udobruchać, szczebiocze, zwracając się do okna, skąd huk dochodzi: „A kuku, Boziu!”

Charakterystykę Urszulki w „Trenach” Kochanowskiego przyjmowałam dawniej na wiarę słów autora. Dziś rozumiem, że jeżeli takie może być dziecko ludzi prostych (służącej do wszystkiego i czeladnika stolarskiego), cóż dopiero córuchna podobnie genialnego ojca!

Wierzę w to, co mówi poeta w XII „Trenie”:

„... ledwe się kiedy dziecię urodziło,
Coby łaski rodziców swych tak godne było!
Ochędźżne, posłuszne, karne, niepieszczone,
Spiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę,
Obyczaje panięskie umieć i zabawę;
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nierzewniwe,
Dobrowolne, układne, skromne i wstydlive
Nigdy ona po ranu karmie nie wspomniała,
Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała.
Nie poszła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła
I zdrowie rodziców swych Bogu porzuciła.
Zawždy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi,
Zawždy się uradować i przywitać z drogi,
Każdej roboty pomóc, do każdej posługi
Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi.
A to tak w małym wieku sobie poczyniała,
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała”.

A kiedy poeta, pełen rozpaczy, bluźnierczo woła:

Gdziekolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości,
A nie możeszli w onej dawnej swej całości,
Pociesz mię, jako możesz, a staw się przede mną
Lubo snem, lubo cieniem lub marą nikczemną!

słyszę w tych słowach poza jękiem serca ojca ból artysty, któremu rozprysła się, jak bańka mydlana, jak obłoczek mglisty, cudna zjawia arcydzieła, korony stworzenia, dziecka o przesubtelnym umyśle i niezwykłym sercu.

Mali czytelnicy.

Większość dzieci czyta bardzo dużo, pochłania prosto książki. Rodzice i wychowawcy cieszą się z tego niezmiernie, gdyż podczas tego czytania w domu cicho, spokojnie, całość i czystość ubrania, jak również pokoju i sprzętów zyskuje na tym bardzo, pociechy nie dręczą prośbami o wynajdywanie im pomysłów do zabawy, a nadewszystko połykanie tak wielkiej ilości drukowanej bibuły ma być nieomylną drogą do zdobycia mądrości. Tę ostatnią korzyść szczególnie mają wszyscy stale na ustach i odbierają książkę takim dzieciom z ręki jedynie ze względów higienicznych. Tymczasem połykanie książek niezawsze jest dowodem rozbudzonej inteligencji, żądzy wiedzy, lecz często bardzo lenistwem umysłowym, przeżuwaniem cudzych wzruszeń, brakiem inicjatywy do wyszukiwania rozrywek.

Moim zdaniem, należy baczną zwracać na to uwagę, żeby dzieci czytywały utwory, odpowiednie ich rozwojowi umysłowemu, a nie wiekowi. Na kartach tytułowych wielu książek, mówiąc nawiasem, wiek bardzo bałamutnie bywa podawany.

Barwne opisy podróźnicze Maine Reida, Verne'a i innych utrwalają się w pamięci dziecka, mającego niejaki wiadomości z geografii politycznej i fizycznej: czepiają się one danych, nabytych przy nauce i trzymają się ich mocno bardzo, nie wymkną się z głowy bez śladu; z czasem drobne szczegóły przeczytanego utworu zatrą się, ale w umyśle trwale pozostanie obraz, wrażenie danej krainy: czy to jej bogactwa podzwrotnikowego, czy monotoni i ubóstwa podbiegunowego, różnica stopnia cywilizacji różnych ludów i t. p.

Szczupłe ramy lekcji, czy to szkolnej, czy domowej, nie pozwalają nauczycielowi na obszerne obrazowanie, opis musi z konieczności ograniczać się poniekąd do suchego wyliczania okazów fauny, flory, plemion, zamieszkujących dany kraj; lektura na suchy ten szkielet może rzucić barwny snop kwiatów, szarą kanwę przyozdobić cudnymi barwami. W umyśle dziecka, znającego już trochę historję, opisy turniejów, uroczystości koronacyjnych,

sejmów, szczegóły z życia Kozaków i t. p. także łączą się z suchymi wiadomościami, udzielonymi na lekcji, uwypuklają ją, utrwalają się w wyobraźni. Tymczasem dziecko, czytając za wcześnie opisy podróźnicze, powieści historyczne i t. p. rzeczy z zabarwieniem naukowym, śledzi wyłącznie z gorączkowym zajęciem fabułę powieści, chce się tylko dowiedzieć, czy bohater z nagromadzonych mu niebezpieczeństw wydostał się szczęśliwie, czy zły, niegodziwy został ukarany, a cnotliwy otrzymał zasłużoną nagrodę i t. d.; nazwy ludów, bohaterów dziejowych, krain, miast, plemion w powieściach historycznych i podróżach uważa mały czytelnik za takie same, jak nazwiska pp. Kozłowskich, Kamińskich, Dąbrowskich i ich Wólek w utworach obyczajowych; Jareme i Wołodyjowskiego, Podbiptę i Tuhajbeja jednakowo ma za postacie zmyślane; a jeżeli czasami tatuś lub mamusia nadmienia mu, że książka, którą w danej chwili czyta, mówi o istotnie niegdyś żyjących osobach lub o krajach, które rzeczywiście gdzieś od nas daleko istnieją, luźna ta wzmianka wychowawcy nie może się przyczynić do utrwalenia w pamięci dziecka wiadomości, zaczerpniętych z przeczytanych utworów o podkładzie naukowym.

Prócz treści, forma nawet, zwroty językowe, wyrażenia w utworach, przeznaczonych dla starszych dzieci, bywają dla młodszych przeszkodą do dokładnego zrozumienia książki, do czego się, mówiąc nawiasem, rzadko przyznają, bo wogóle mały taki pożeracz książek, podziw rodziny i znajomych, dostawszy się na to stanowisko, poczytuje sobie nieraz za punkt honoru nie przyznawać do napotykaných przy lekturze trudności.

Poprzednie pokolenie miało mniej do czytania, gdyż mniej było autorów, piszących dla dzieci; obecnie wszyscy pracują nad tym, żeby dziatwa miała co czytać. Zamożniejsze dzieci nadzwyczaj wcześnie przestają otrzymywać inne podarki, wyłącznie obsypywane są książkami; mniej zamożne, poza mniej obfitą biblioteką osobistą, korzystają z licznych czytelni, zaopatrzonych w wydawnictwa dziecinne; najuboższe mają książki z czytelni bezpłatnej, szkoła wypożycza książki, od znajomych też niejedną dostać można, za uzbierane pieniądze kupić coś tańszego; słowem, dzieci nasze, jeżeli mają skłonność do po-

łykania bibuły, i rodziców, uważających to za rzecz ultra zbawienną dla umysłu, mogą używać i nadużywać tej przyjemności w całej pełni: wszystkie wolne od zajęć obowiązkowych chwile przesiadywać z łokciami, opartymi na stole, z zatkanymi uszami, z wypiekami na twarzy gonić za dolą i niedolą urojonych bohaterów, kiedy naokół życie, prawdziwe życie, aż tętni i przelewa się...

Myśmy czytawali mniej, ale lepiej; nie kończyliśmy gorączkowo utworu Umińskiego, przytrzymując łokciem na dalszy ciąg przygotowane zawczasu „Quo Vadis”. Za naszych czasów komplet „Przyjaciela” z przed lat kilku, nieszczęsny, niepedagogiczny „Duch Puszczy”, „Robinson Kruzoe”, „Chata Wujka Toma”, „Powiastki Szmidta” czytowane były i odczytywane bez końca, bez miary, z prawdziwie wielkim zajęciem za każdym razem a z nową książką spotykaliśmy się zaledwie kilka razy do roku. Okropności walk z Indianami straszyły nas po nocach, zabawy nawet nasze były ilustracjami przeczytanych utworów, podobizny nadzwyczajnych potwórow, które wtedy wyłącznie były zamieszczane w „Przyjacielu” w dziale nauk przyrodniczych, powbijały się nam w pamięć na całe życie. Teraz tego niema. Posłuchajmy rozmowy dwóch takich pożeraczy. Jeden co chwila drugiego poprawia: „Ale, co ty wygadujesz. To wcale nie z tej książki, wszystko poplątałeś, to o kim innym mowa, a to o kim innym!” Czyż i my, dorośli, zauważymy całą wartość i piękność utworu, przerzuciwszy go prędko i przeszedłszy bezpośrednio do zupełnie niepokrewnych tematów? Dziecko, czytając dużo, a przytym coraz coś nowego, opuszcza nieraz po kilka stron nudnych opisów i goni tylko z biciem serca za przygodami bohaterów. Czyż tego pragnął autor, popularyzator wiedzy?

Dziecko, pochłaniając zapalczywie książki, często szuka wyłącznie sensacji, wrażeń tylko, grymasi, książka ta lub owa jest, zdaniem jego, nudna, bo za mało w niej rozmów. Krótko mówiąc, dzieci powinny czytać mniej, wolniej, a przytym kilka razy to samo. Dziecko potrzebuje pomocy przy czytaniu, a tymczasem przeważnie puszcza my je przy tym zajęciu samopas.

Zaprenumerowano dzieciom pismo. Dziecko rzuca się z gwałtownością na każdy świeży numer: ale jak się z nim

obchodzi? Przedewszystkiem obejrzy obrazki, z zajęciem odczyta dwa lub trzy dalsze ciągi powieści, dalej uzna godnymi trudu czytania niektóre wiadomości z chwili obecnej, jeżeli słyszy, że naokół starsi zajmują się nimi, dalej pójdą dowcipy, łatwiejsze łamigłówki; ale mających mu największy pożytek przynieść artykułików ściśle naukowych pozna tytuł załedwie. Nie bywa to zwyczajem leniwych, nie interesujących się nauką dzieci, ale poprostu zdarza się często, że w pierwszych zaraz wierszach spotyka mały czytelnik zwrot trudniejszy, jakieś imiona własne nieznane, jakieś wyszukańsze słowo (pomimo usiłowań popularyzatorskich redakcji) i, zniechęcony brakiem porywającej fabuły, owej rozkosznej podniety, opuszcza trudny i nudny elaborat.

Po jakimś czasie wychowawcy, widząc, jak prędko malec załatwia się z otrzymanym numerem, gniewają się nań, dlaczego nie czyta całego, od początku do końca. Moim zdaniem, gniew tu nie na miejscu, ale pomoc potrzebna. Ileż to razy mniej ciekawy utwór zyskuje bardzo w oczach dorosłych, gdy będzie odczytany głośno, wobec osoby też interesującej się jego treścią.

A utwory poetyckie? Czyż wszyscy prawie nie czytujemy sobie ich głośno, nie deklamujemy półgłosem i wtedy dopiero odczuwamy w pełni czar ich treści i formy, dźwięczność przy zestawieniu wyrazów, najcudniejszą nieraz muzykę? Ileż to razy słyszałam dzieci, mówiące po wysłuchaniu bynajmniej nie artystycznego głośnego czytania: „Jakie to cudne, a ja zawsze wiersze opuszczam!”

(Prawdę powiedziawszy, rzadko miewamy dobre wiersze w pismach periodycznych dla dzieci). Wiele nauczycielek, szczególnie stałych, odrabia artykuły treści naukowej z pism, jako opowiadanie z dziećmi na lekcji; sposób ten wydaje mi się bardzo praktyczny.

Dzieci, nie mające cały dzień przy sobie wychowawców zawodowców, pozostają w bezpośrednim zetknięciu z rodzicami, a ci nieraz nawet nie rozumieją, jakich pozbawiają się rozkoszy moralnych i umysłowych, nie obcując z nimi tak, jakby należało. Ojciec średnio wykształcony, po powrocie z biura, zjadł obiad, przespał się, był w cukierni, wraca do domu. Dzieci pokończyły lekcje,

czytają. Ojciec bierze do ręki gazety wieczorne, a tu mu przerywają:

— „Tatusiu, a gdzie to ten lub ów kraj”? albo: „W którym roku się to stało”. — Ojciec narazie przypomnieć sobie nie może lub nie słyszał nigdy o czymś podobnym, załatwia się więc bardzo krótko: „Nie nudź mnie, smarkaczu!” lub trochę grzeczniej. Nie odebrawszy raz i drugi od ojca odpowiedzi, malec dochodzi do przekonania, że rodziców podobnymi rzeczami nudzić nie należy, bo mają ważniejsze rzeczy na głowie, albo poprostu wystraszy się dzieciak olimpijsko zmarszczonych brwi i ostrego tonu i przestaje pytać...

A tak łatwo byłoby postąpić inaczej! Dziecko i tak trochę później dowie się, że rodzice nie są nieomylni, że wiedza ich jest mniej lub więcej ograniczona; nie z kłamstwem, nie z wykrętem powinnyby się zwracać do swoich latorośli, ale ze słowami: „Nie pamiętam w tej chwili, zaraz sobie przypomnę; poczekaj, zajrzę do książki, dowiem się od kogo, jeżeli cię to tak interesuje”.

Powagi rodziców to nie osłabi, jeżeli dziecko ich kocha, jeżeli mu imponują wielkością moralną. (Zdaje się, że o tę powagę głównie chodzi). Przytym jest tu okazja do wytłumaczenia np. dziecku: „Nie w takich się szczęśliwych warunkach wychowałem, jak ty; albo „Nas wtedy tego w szkołach nie uczono”; dalej „Nauka jest czymś tak wielkim, że jeden umysł wszystkich jej gałęzi objąć nie zdoła we wszystkich szczegółach”.

Udzielałam podobnych objaśnień 7-letnim dzieciom i potrafiły je właściwie ocenić. Utrudnia też osiąganie korzyści z czytania brak map w naszych domach. Spór co do położenia pewnych miast lub krajów bardzo prędko upada, gdyż niema sposobu sprawdzić, przy kim słuszność. Zdaje mi się, że dokładna mapa Europy, półkul, ziem polskich, kolei żelaznych i t. p. w pokoju dziecinnym, stołowym lub gabinecie pana domu mogłaby przytym być nawet większą ozdobą, niż wątpliwej wartości estetycznej wachlarze i parawaniki chińskie! W dosyć zasobnych nawet biblioteczkach naszych brak bywa encyklopedji, a jeżeli jest, to korzystanie z niej bezpośrednie jest surowo wzbronione dzieciom, z obawy, aby się nie dowiedziały przedwcześnie o wielu rzeczach: wobec

tego pożyteczne byłoby bardzo nabywanie książek, służących dzieciom nie do jednorazowego odczytywania z zapartym oddechem, lecz dziełek, do których często mogą w potrzebie zaglądać. Takimi są np. precudna książka B. Dyakowskiego „Z naszej przyrody”, opatrzona spisem roślin i zwierząt; „Księga wiadomości pożytecznych” lub „Księga rzeczy polskich” Z. Glogera i kilka jeszcze innych.

Ileż to razy mówimy o sobie, że dziś nie jesteśmy usposobieni do poważniejszej lektury, innym razem do słuchania poezji; a czyż można wymagać od dziecka zawsze równego usposobienia? Zmęczone bieganiem, ruchem fizycznym, dziecko chętne jest bardzo do słuchania, ale nie śpiące, ani oderwane od najbardziej zajmującej rozrywki.

Z dzieckiem nie zawsze można czytać, kiedy my mamy chęć po temu; trzeba umieć uchwycić właściwą chwilę. Ta okoliczność często zniechęca początkujących wychowawców. Przeczytane razem książki zbliżają ludzi bardzo, mają oni tym sposobem w bohaterach powieściowych wspólnych znajomych, używają wielu tych samych zwrotów, dowcipów, zapożyczonych z przeczytanego dzieła. Podobna atmosfera wytwarza się między nauczycielkami a stale przebywającymi z nimi dziećmi. Zebrani np. przy obiedzie domownicy ze zdziwieniem spostrzegają zamienianie porozumiewawczych spojrzeń między dziećmi a „panią”, wybuchy śmiechu z powodu najzwyczajniejszego wyrazu, który ma dla wtajemniczonych szczególnie jeszcze znaczenie i t. p. objawy. Widząc się niejako wyłączone z światka pojęć dzieci, rodzice zazdrość swoją względem nauczycielki zdradzają takimi np. słowami: „Nie nudźcie tak ciągle pani nawet przy obiedzie swoimi głupstwami”, chociaż widzą, że wychowawczyni z jawnym ukontentowaniem bierze udział w rozgwarze dzieci.

A z ilu to całusów, przytuleń serdecznych okradają nauczycielki swoich chleboborców podczas samego czytania! Gdyby rodzice wtajemniczali się bardziej w lekturę dzieci i kierowali nią stale, stopniowo widzieliby dokładnie rozwój duchowej strony swojego dziecka i nie stawaliby ze zdumieniem i podziwem przykrym lub radosnym wobec dorosłego młodziana lub panny, kiedy ich wreszcie uznają godnymi swego towarzystwa i rozmowy

o wszystkim, jako osobę zupełnie dorosłą. „Ktoby tam gadał z dzieciakami całymi godzinami! zdziedzinięby można chyba!” mówi niejedno z rodziców. Nie wtajemniczywszy się bliżej, nie wiedzą, że niema chyba kwestji, któraby na swój sposób nie interesowały się dzieci, nie żądały co do niej wyjaśnień. Przecież te wszystkie mądre i głębokie myśli nie powstają odrazu, jak grzyby po deszczu, w 18 ym roku, lecz stopniowo budziły się i układały od zarania życia w małych główkach serdecznych dzieciaków.

Dzieci i listy.

Niepisanie listów, pomimo najserdeczniejszych przyrzeczeń przy rozstaniu częstego korespondowania, jest zjawiskiem wielce pospolitym.

„Nie gniewaj się, że nie pisałem, ale mam prawdziwy wstręt do listów”, „Z zasady nie pisuję listów”, to frazes znany, oklepany; a jednak pisanie listów jest naszą powinnością, niepisanie w pewnych warunkach wielkim przestępstwem, nieomal zbrodnią.

Ponieważ ludzi dorosłych, starych zbereźników, poprawić niezbyt łatwo, pragnęłabym zwrócić uwagę wychowawców i rodziców na wdrażanie młodego pokolenia do sumiennego pełnienia tego obowiązku.

Prawda, w pewnych uroczystych chwilach, z powodu imienin, urodzin czy też świąt dorocznych i t. p. zasadza się dziecko, mniej lub więcej posunięte w szlachetnej sztuce pisania, do listu do nieobecnych krewnych, do utworu, zastępującego powinszowanie na „laurce”; ale to nie rozmowa na piśmie z osobą nieobecną, to szczątki epoki panegirycznej jeszcze sztuczności, a jakże często sformułowanie zręcznego pochlebstwa pod adresem szczerze obdarzonych od fortuny, czy też ustosunkowanych ludzi! Nie o tym steku formułek konwencjonalnych mówię, to nie listy!

Ale w każdym domu, w każdej rodzinie dzieci przeżywają odjazd bliskiej osoby, z którą przez dłuższy czas obcowały, która była ich codziennym towarzyszem, kierownikiem, ideałem. Dziecinne serduszka rwą się na kawały w chwili rozstania, bo czują gorąco...

Pamiętam, jak siedmioletni chłopczyk po odjeździe dwudziestoletniego krewnego, młodzieńca wielce żywego, ruchliwego, bardzo lubiącego dzieciarnię, najmilszego jej towarzysza zabawy, odezwał się z płaczem: „Po co ten Adaś przyjechał? Mógł wcale nie przyjeżdżać! A jak przyjechał, to trzeba, żeby zawsze już był z nami”.

Tę rozżaloną rozstaniem dzieciarnię trzeba zachęcić do listownej pogawędki z nieobecną osobą. Jegomość i jej-mościanka, nie umiejący pisać, niech dyktują mamusi, tatusiowi, pani, niani, czy starszemu rodzeństwu. Tylko zbyt wiele wymagać nie trzeba, a przede wszystkim poprawności stylowej, zdań okrągłych, gładkich, wykończonych, języka obcego dziecku. Owszem, niech pisze, jak mówi, z tym swoim charakterystycznym, dziecinnyim szykiem wyrazów! Niech list nie będzie jakąś pracą, wielce trudną, mozolną, obstawioną uroczystymi okolicznościami, niech będzie rzeczą zwykłą, powszednią! Ciocia, niania, siostrzyczka, pani wyjechała, trzeba więc do niej napisać o tym, co ją tu obchodzić może, o wszystkim, bo ona nas tak kocha, tak wszystko, wszystko chce wiedzieć!

Nie dajmy dziecku nabrać fałszywego wyobrażenia, że list to coś podobnego do telegramu, gdzie się donosi tylko o śmierci, chorobie, ślubie, narodzinach, kradzieży, promocji i t. p. ważnych wydarzeniach. List to szepnięcie serdeczne na papierze: „Ja tak ciociunię, jak zawsze, jak dawniej, w oczko prawe i lewe całuję”, to powiedzenie, że „mamusia teraz czarną suknię na codzień nosi, a w jadalni Zosia oblała atramentem firankę i mamy teraz krótkie, już na podłozie nie leżą”. „Grywamy wieczorem często w loteryjkę, na spacerze już krócej siedzimy, bo brzydka pogoda” i t. p.

Listy — to chęć przeniesienia obrazu życia naszego innej osobie na papierze. Niech dziecko to sobie uświadomi, niech myśli tylko wciąż sercem: to ciocia lubiła, tego kochała, o tym więc jej napiszę, a nie dręczy się jakąś fałszywą ambicją: „A może się ciocia z tego naśmiej, bo to takie głupstwo”.

Święta kategoria listów to dotrzymanie obietnicy pisanania do ludzi, którzy jadą tam, gdzie im źle będzie: do tych, którzy opuszczają rodzinę, udają się do obcych, w dalekie okolice, na tułaczkę, nie mówię już o skaza-

nych na osiedlenie, emigrację... Włóżmy w serce dziecka to zrozumienie, że nierzucenie tym osobom listu-jałmużny, listu-pociechy, listu-otuchy, podtrzymania siły to wina wielka i do największych, choć na świecie nie karanych, zaniedbań zaliczana być winna...

List ma być ochędzożny: bez plam tłustych albo wielkich atramentowych, na papierze nie pomiętym, lecz dla byle przybrudzenia, niewielkiej pomyłki, nie najdoskońalszej kaligrafji, krzywej linijki nie każdy zaczynać pracy od początku, nie róbmymy z tego, w co włożyć trzeba serce, czegoś nudnego, uroczystego, konwencjonalnego... Niech list dla dziecka będzie czymś tak zwykłym i naturalnym, jak wizyta u chorej Zosi, jak rozmowa z tatusem o zmroku na otomanie...

Straceńcy.

Człowiek nieśmiały to najmilejszy obiekt dworowania bliźnich. Mówi się malusiej dziewczynce, która dopiero co posiadała arcana czytania: „A niechno panienczka powie nam abecadło od końca”, po to tylko, żeby podziwiać czarowną w prawdzie uczucia, przerażoną minę maleństwa. Mówi się doń: „Moja narzeczona” za każdym widzeniem, a dziecko ucieka, kryje się po kątach, kiedy taki pan przychodzi; „nie cierpi” go, choć to najmilszy towarzysz ojca, stary kawaler, „kawalarz”.

Poezja opiewa i gloryfikuje dziewczątko strwożone, zapłnione, kwiatuszek, tulący płatki za łada wiatru powiewem. Rumieni się to, błędnie, oczy zranionej łani przepełniają się łzami, gdy śmiałek jaki szepnie zbyt ryzykowny komplement. Oburzyć się, reagować silniej nie potrafi, najwyżej trwożnie wyszepcze: „Bo już pójde do mamusi!”

Tak bywa w salonie pod skrzydłem rodziny. A w życiu?

Nauczycielka, umawiając się o lekcje, drży, miesza się, płacze w rozmowie — któż „niedołędzie” takiej dzieci powierzy? Pewnie nic nie umie! Przecież jej dzieci nie będą chciały słuchać! I tak bywa nie tylko z młodymi nauczycielkami: ileż to razy nad poważnie uzdolnionym nieśmiałym osobnikiem bierze górę niedouczonek, zuchwały

blagier. I słusznie głoszą przyrodnicy: zwycięża bardziej uzdolnione indywiduum.

„Istnieje modna dzisiaj teoria „walka o byt” — mówi Prus — wedle której wszyscy drzeć się powinni pomiędzy sobą. Otóż, o ile zjawisko walki o byt jest faktem w naturze bardzo pospolitym i niezbędnym, o tyle podniesienie go do wysokości jedynej zasady jest poprostu głupstwem. Bo prawdą jest, że owad psuje roślinę, dzieciół zabija owada, a dzieciółła jastrząb. Ależ drzewo, owad i dzieciół, nim zostały zjedzone, żyły i rozwijały się. Prawo walki o byt przecięło ich istnienie, lecz jakież prawo dało im i podtrzymało to istnienie? Oto prawo wspierania się i wymiany usług”.

Podajcie więc rękę nieśmiały, bo kraj nasz jest ubogi i nie stać nas na marnotrawienie ludzkich sił, wartości umysłowych, skarbów uczucia... Bo nieśmiali samotnicy to często ludzie nieprzeciętni, wprost wyróżniający się od innych, świadomi tego, tym nieśmiali i nie-szczęśliwi, to znów dumni — często twórcy nowych form życia.

Nie wszyscy, wiem, nie wszyscy!

Powiedzcie nieśmiały coś niecoś o ich wartości, to ich podniesie, podtrzyma, uratuje.

Tyle o dorosłych! A dziecko?

Dziecko nieśmiałe to obrzydliwie przykładne, „grzeczne”, ideał rodziców, nie wydrukujących sił i umiejętności na pracę nad wychowaniem.

„Łatwe do prowadzenia”, oporu nie stawia, zamieszania, hałasu nie narobi, bo jakżeby się ośmieliło, choć nie zawsze z obawy kary: wybitnie nerwowe, często wzdryga się, czuje lęk instynktowny, wstręt przed obrzydliwością potoku słów drobnych, przykrych wymówek, co zostaje mu już na całe życie.

Nie niszczy ubrania, zabawek, sprzętów, cichutko bawi się w kąciку, czyta książkę. „Mało z nim kłopotu” — mówią opiekunowie — „jakby go nie było”. Śmiałek-burzliwiec stłukł szybę sąsiadom, podarł spodeńki na poręczy od schodów, zaznajomił się z „niegodziwymi” chłopakami z podwórka, przepadł z nimi na całe pół dnia, nie wiadomo gdzie. „Pewnie mu się co stało”, zamar-

twiają się rodzice. Tyle go uczyć trzeba i tyle razy tego samego! Ileż to trzeba wtłaczać do młodej mózgownicy nakazów, przepisów mądrości społecznej, ogólnoludzkiej!

Nieśmiały, jakby je wszystkie stale miał w pamięci. A jednak temu to rzekomemu ideałowi wychowanka krzywdą się dzieje: toż to przyszły „straceniec”, do walki z życiem nie usposobiony; wychowanie winno mu włożyć w ręce oręż obronny, zastąpić niedobory macochy-natury.

Nieśmiałemu dzieciakowi należy przedewszystkiem uleczyć nerwy, wzmocnić cały organizm, uczyć go gimnastyki, tańca, napędzać do gier na świeżym powietrzu, pracy fizycznej. Nabierze wtedy ruchów śmiałych, członki będzie miał sprawne; wejdzie zwinnie do sali pełnej ludzi, choć oczy wielu będą weń skierowane nieżyczliwie, badawczo; wdrapie się na pochyłość, nie upadnie, nie ośmieszy.

Walcząc z tą wrodzoną wadą psychiczną, trzeba ośmiać, podtrzymywać, działać z miłością, miłością i jeszcze raz miłością.

Należy nieśmiałego często używać do różnych posług, poleceń: „Przynieś mi”, „Podaj”, „Odnieś na miejsce”, wzbudzać w dziecku pewność siebie, a nie odbierać resztek ufności we własne siły fukaniem: „Czego się do tego bierzesz, ty niezgrabol!”, „Zawsze musisz co stłuc albo rozlać!”, „Mówiłam raz na zawsze, że Oleś tylko może atrament odpieczętować, otwierać sardynki, nie ty, nie-dojdol” i t. p.

Prawda, posługa nieśmiałego więcej czasu zabiera, niż zucha-śmiałka, zwinnego pacholęcia, lecz ten, kto rzeczywiście wychowuje, t. j. dopomaga przyrodzie, przerabia naturalne właściwości dziecka, nie wychowawca-deklamator, który dużo i szumnie rozprawia o wychowaniu, i na to czas znaleźć powinien.

Obejrzyjcie się, czy też koło was nie męczy się, nie cierpi bez pomocy człowiek, czy dzieciak nieśmiały...

Kształcenie wrażliwości estetycznej.

Kształcenie wrażliwości estetycznej należy, moim zdaniem, przede wszystkim do nauczycieli-polonistów, wiąże się z ich działalnością, oni to bowiem z urzędu omawiają piękno dzieł literatury.

Każemy uczniom opisywać uroki natury, lecz czy wszyscy oni odczuwają jej czary, miłują ją? Przecież samodzielnie pisze się dobrze, szczerze tylko o rzeczach odczuty, przemyślanych, a przede wszystkim dobrze znanych! Mundurek upodobnia dzieci; nie wiemy, ile mamy w klasie dzieci inteligentów, jaki procent wieśniaków, jaki mieszcuchów i t. d. (dane osobiste, choćby takie paszportowe, dostarczane przełożonym przez rodziców, powinienby mieć i każdy nauczyciel). Wiemy jednakże przecież, że szkoła nie gromadzi wyłącznie dzieci wieśniaków lub exulantów wiejskich, którzy zostawili w różnych Wólkach, Sokółkach krewnych, przyjaciół i znajomych, są ze wsią w ciągłym kontakcie, spędzają tam święta, wakacje. Szkoła ma dominujący procent typowych mieszcuchów, dzieci ludzi, którzy nie lubią wsi, przyrody, bo... czaru jej nie nauczyli się cenić, nie znają jej prawie wcale.

Nie przemówi do nich opis powrotu łąkami z sienkiewiczowskiej „Hani”, bo nie odczują piękna jego nigdy ci, którzy nie zakosztowali uroku ciszy nocnej na wielkiej przestrzeni, a naśmieją się tylko z takiego np. listu dziewczynki, pisanego późną jesienią z dworu wiejskiego: „Wczoraj wrócił tatuś z miasta akurat, jak mamusia była u krów i pozwolił zawieźć mię Wojciechowi wolantem pod oborę. Dawno już na folwarku nie byłam: takie grzaskie błoto przed dworem i na grobelce, cóż dopiero między stajniami! Zajechaliśmy. Wchodzę. W pierwszej chwili bardzo ciemno. Cichutko, słychać tylko odgłosy dojenia; ktoś smutnie śpiewa półgłosem. Latarki migocą, jak we mgle. Ludzie niewyraźnie majaczeją. Takie mądre i ładne mają krowy oczy. Jakoś dziwnie świątecznie, uroczyście”... Poezja obory...

„Ja to widzę tę łączkę, tego pastuszka, te krówki”, mówili 7-letni chłopcy, gdy im odczytałam znany wiersz

Lenartowicza: „Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce dwie krówki się pasą, baranek i pastuch przygrywa na długiej ligawce”... Spędzali oni rok rocznie parę miesięcy na wsi... A jak śmiesznie odzywają się o rzeczach wiejskich dzieci-ignoranci. Największy procent stanowią tu Żydzi.

U mieszcucha co innego w cenie: żywi on szczególnie podziw dla skomplikowanej konstrukcji, rzeczy złożonych, mechanicznych. „Dziwuje się”, przystając przed zabawką na wystawie, choćby tego typu: majster szewc przy robocie zasypia. Chłopcy pokazują mu finię na nosie. Majstrowa zagląda przez drzwi i potężnym szturchańcem budzi majstra i znów to samo: majster zasypia... „Jak to oni potrafili zrobić!” powtarza mieszcuch, kiwając głową.

Pamiętam w jednym z muzeów drezdeńskich podziw mieszczuchów nad figurynkami, wirydarzykami ze srebra, złota, drogich kamieni. Żadnego nie było w tym stylu estetycznej wartości, ale przewodnik prawi, ile to tysięcy talarów kosztowało, ile funtów srebra, złota na to poszło...

Mieszcuch ma szacunek dla pracy, cierpliwości, wytrwałości. Tłumne przechadzki na nowy most Poniatowskiego to nie tyle była radość z nowej ozdoby miasta, udogodnienia, to hołd przede wszystkim podziwu, składany umysłowi inicjatorów, twórców, kierowników wielkiego, rzadko w Warszawie widzianego przedsięwzięcia, ogromu pracy.

Mieszcuch nudzi się na wsi, czeka gości, rozmaitości zzewnątrz, przyroda nic doń nie mówi, niema, martwa.

W teatrze często zachwyca go w dekoracjach, „że tak umieli zrobić, jak prawdziwe”, a nie to, że to piękne rzeczywiście.

„Te meble brzydkie? Co ty mówisz? To przecież najmodniejsze”, mówi ze świętym oburzeniem mieszcucha do córki. „Chcesz, żeby kapelusz był ubrany, a przecież w tym roku wcale się nie kładzie ubrania na kapelusz”. „To brzydka serwetka szydełkowa? Jakie to pracowite! Czy tybyś miała tyle cierpliwości? Co to oczu trzeba było nawysilać!” przemawiają inne racje.

Wieczne życie w tłumie zabija w mieszczuchu samodzielność sądu, psuje on też z kolei zaczątki wrodzonego

poczucia piękna w dzieciach, koszlawi je, bo dzieci malusie potrafią zachwycać się tak gorąco, szczerze, entuzjastycznie złocistym puchem sasanki, miękkością, przytulnością siwej koteczki wierzbowej, małością raczka, kociaka, oczkami-paciorkami żółtego kurczaczka, biciem serduszka ptaszka, zamkniętego w dłoni, cudowną mądrością mrówek! Uciecha, zachwyt głos im, oddech wprost tamuje...

Uczniowie niższych klas przechowują w książkach trochę uskubanej jedwabnej przędzy, kawałki barwnych tkanin, włóczki, tak zwane „srebro” od czekolady, pieczątki ozdobne, obrazki. Ta odrobina kanarkowej „materji” lub kawałateczko wstążeczki to nie dla lałki na karkę nawet, to coś do popatrzenia od czasu do czasu tylko, bo to piękne, kantowski przedmiot bezinteresownego upodobania, nie wpływającego z niższych pożądań, tylko z czystej kontemplacji — nie inaczej!

A te zbiory dzieci w czymś, skonstruowanym przez nie w guście szafki, komódki, ołtarzyka! Jakiś stołeczek czy pudełko, nakryte koronką, kolorowym papierem, bibułą angielską, a na tym najpiękniejsze skarby: dymisjonowane flakoniki od perfum, muszle, filiżaneczka (widziałam i naczynka szklane do stawiania baniek), kawałek szkła kolorowego — toż to mała świątynka piękna!

Ale dziecko pieszczota, dziecko-pocieszka, którego każdy przejaw życiowy podziwiany i notowany bywa skwapliwie, rośnie... Dziesięcioletnia dziewczynka wraca do domu z gałązeczką dzikiego wina przy fartuszk; misterny kształt nawpół jeszcze stulonych szkarłatnych listeczków tak ją zachwycił! na przypięte na piersi cudo spoglądała przez drogę całą — w domu słyszy: „Rzuć to ziel-sko!” Innym razem kwiat blado-różowy „kaszki” — krwawnika, kiedy wszystkie białe, tak się jej podobał! a to też „śmieć” tylko, nie kwiatek patentowany: róża, gwoździć... Nieśmiały, wstydlivy dzieciak odtąd tai swoją wrażliwość, zrażony zmrożeniem zachwytu, zlekceważeniem go przez otoczenie... i później dopiero, kiedyś może przypomni sobie dziecinne swoje zachwyty sponiewierane... a może zabite poczucie piękna nie wskrzesi, dziecko upodobni się do otoczenia, wedle praw współżycia. ■ ■

Prawda, bogatszy mieszczech wyjeżdża na wieś, na letnisko podmiejskie i... przemienia je w uzdrowisko: oblicza każdy wypity garniec mleka, kontroluje wciąż apetyt, wygląd, wagę dzieci, walczy o każdą piędź powietrza z sąsiadami, o każdą chwilę na świeżym powietrzu, bo to środek leczniczy, drogo opłacony (taki materializm grubych!) Gdzież tu mowa o kształceniu wrażliwości estetycznej, a jeśli zachwyty, to banalne, konwencjonalne, cudze... Atmosfera sanatorium, szpitala, a nastrój w kształceniu uczuć estetycznych gra przecież tak poważną rolę.

Prawda, typowe, najbardziej poszukiwane, bo najhigieniczniejsze letnisko podmiejskie znacznie mniej daje wrażeń, niż prawdziwa wieś: brak roślinności na szczerym piasku, las bez podszycia, monotonia geometrycznych linii sosen, monotonia architektury (są letniska, gdzie trudno trafić do domu, gdyż wszystkie wille są jednakowe), lecz i tam nawet możnaby dzieciom pokazać cudną smukłość sosen, piękno wrzosowisk, grę obłoków, burzę, oświetlenie lasu o zachodzie, czerwoność pni sosnowych, chowanie się tarczy słonecznej. Cóż, kiedy mieszczech i na polanie wrzosowej, zdobnej bielą brzoze, potrafi powiedzieć: „To ładne, ale Niemcy-by dawno już tu wybudowali kawiarnię dla wygody publiki”.

Podobny brak wrażliwości na przejawy piękna oburzał mnie niegdyś, zasugerowaną epitetami „kołtuństwa”, „filisterstwa”, tak szczerze udzielanymi mieszczechowi. Dziś trochę inaczej mi się rzecz przedstawia: mieszczech typowy jest takim, jakim go urobiła praca ciężka, zmudna, usilna: czy to będzie urzędnik, walczący z trudem o urlop, czy właściciel niezbyt dobrze prosperującego sklepu, czy rzemieślnik średnio zamożny, który nie może opuścić warsztatu w dowolnym czasie bez kierownictwa. Jeżeli zaś chcemy mu rzucić trochę słońca piękna na życie—otwierajmy już dzieciom oczy na przejawy dla nich najdostępniejsze, zaczynając od rzeczy najbliższych, t. j. tych, których miasto dostarcza. Bo czyż Warszawa mało ma piękna w sobie? Tylko kochać ją trzeba i patrzeć na nią bez powziętych z góry uprzedzeń!

Piękno miasta! Nauczmy je widzieć, a potem każmy pisać o nim! Zwróćmy więc oczy dzieciom przedewszyst-

kim na zachód słońca, widziany ot, choćby z ulicy Nie-
całej na tle wodozbioru lub przy krzyżowaniu się Alei
Jerozolimskiej z ulicą Marszałkowską, gdzie jest rozległa
perspektywa, na klócenie się o tej porze światła dzien-
nego ze sztucznym; na uróżą świeżość bardzo wczesne-
go ranka w Ogrodzie Saskim, w Łazienkach; na świt zi-
mowy na ośnieżonej ulicy; na pękanie i ruszanie lodu na
Wiśle; zachód słońca, wschód księżyca i światelka nad
Wisłą. Skierujmy uwagę młodzieży na wysoki brzeg Wi-
sły, widziany z prawego brzegu, to znów na gęstą mgłę
ranną w mieście, nad Wisłą (rzadkie wprawdzie zjawis-
ko); na tajemniczy wieczorem kątek roślinno-architekto-
niczny przy Zachęcie; na kopułę kościoła ewangelickie-
go i wogóle na monumentalne budowle, odcinające się
przepięknie, w pewnym szczególnie oświetleniu; na
smukły gotyk kościoła kalwińskiego na Lesznie nocą
na tle nieba; na półmrok katedry i jej koronkowe rzeźby;
na zaróżowione, ośnieżone brzegi Wisły o zachodzie i t. d.
i t. p.

Szkoła, poza wycieczkami botanicznymi, geologicz-
nymi i t. p., powinna by urządzać przechadzki celem zapo-
znawania dzieci z pięknem miasta, okolicy, lub przynaj-
mniej na wycieczkach przyrodniczych i innych zwracać
uwagę i na piękno krajobrazu, owadów, roślin, budowli,
ruin, oświetlenia. Weźmy np. mlecz (patentowane podob-
no zielsko), wczesną wiosną szczególnie, toż to cudna
gwiazda złocista na tle świeżej zieleni majowej.

Trzeba zwracać uczniom uwagę na plantacje, które
stanowczo są piękne. i wielki w nich pod tym względem
postęp, pomimo ciągle ubolewanie, że się „u nas” nic
nie robi—„za granicą inaczej”.

Uczmy patrzeć i... widzieć!

Szkoła zapoznaje z pięknem natury przez pryzmat li-
teratury, przez szkło, zwane temperamentem autorskim,
przyklepia się potem w życiu do świeżo poznanego kąci-
ka przyrody gotową etykietkę: krajobraz à la Boeclin,
nastój maeterlinckowski i t. d. i t. p. Za dużo jest litera-
tury w życiu dzisiejszego człowieka — za mało szczerzej
samokontroli, bezpośredniości odczuwania i tak będzie
i nadal, jeśli rozwijać będziemy wrażliwość estetyczną
młodzieży wyłącznie tylko na arcytworach poezji, dzie-

łach sztuki jedynie, nie będziemy pobudzać do bezpośredniej obserwacji samej przyrody.

Ćwiczenia stylowe rozwijają umiejętność reprodukcji, lecz przerabianie opisów arcy mistrzów, streszczanie dzieł, charakteryzowanie osób urojonych zbyt dużo zabiera czasu w wyższych klasach. Cel tego: pobudzenie do bliższego poznania literatury, kontrola nad wiadomościami ucznia, lecz są na to inne sposoby. Czy nie należałoby trochę więcej zachęcać młodzieży do wypowiedzenia swojego ja, swoich własnych myśli na widok tego lub owego zjawiska lub osoby? Budźmy pierwiastek twórczy w duszy młodzieży, coś nowego niech daje, nie przeżuwa wyłącznie cudze rzeczy...

Budzenie uczuć estetycznych zostawia się dopiero na klasy wyższe przy stylistyce, literaturze, niższym w olbrzymiej jeszcze dozie, (choć mniejszej nieco, niż dawniej), wydziela się wiersze, powiastki, czyny nauczające — etyka na pierwszym planie. I słusznie, ale i dążenie do dobra przez piękno więcej uwzględniać należy. „Bezpośrednie zainteresowanie dla piękna natury jest zawsze oznaką duszy szlachetnej”.

„Piękno jest symbolem dobrego”, mówi Kant.

„Kształcenie uczuć estetycznych — mówią — nie dla dzieci wciąż jeszcze!” A jakież nikły ich procent kończy średni zakład naukowy!

Niejedna szkoła oprowadza swoich wychowanców po wystawach, lecz powinnyby to odbywać się częściej i niezbyt wielką gromadą. Poza tym, tłumaczy się im wyłącznie treść, ideję dzieła sztuki (bo tego dzieci są najbardziej ciekawe: co ów obraz, owa rzeźba mają oznaczać?) Lecz trzeba też pamiętać i o „zarażeniu” uwielbieniem dla piękna formy dzieł sztuki, pobudzać ucznia do samodzielnego zwiedzania, nie zawsze tylko go prowadzić. Bardzo mało młodzieży szkolnej spotykamy na wystawach, w muzeach.

Ciągle te same obrazy na ścianach klas, choćby najpiękniejsze, powszednieja; i czemuż, tylko obrazy, nie rzeźby też i płaskorzeźby?

Sporą rolę w nauczaniu odgrywają dziś pocztówki, jako ilustracja arcydzieł literatury. Mamy już karty do

„Dziadów”, „Wesela”, „Pana Tadeusza”, „Ballad”, „Smutno mi, Boże”, „W Szwajcarji” i t. d. Do historii są cykle Matejki, Grottgera, Kossaka i innych; przy nauczaniu geografji, szczególnie kraju rodzinnego, mamy na pocztówkach stroje ludowe, krajobrazy. Korzystamy z tej pomocy naukowej na lekcjach przyrody—najmniej wyzyskuje się ją, jako reprodukcje dzieł piękna. Oglądajmy zatem z dziećmi kopje utworów sztuki, nie narzucając przytym swojej opinji, a w swobodnej dyskusji budźmy zainteresowanie, odczucie, zrozumienie piękna ich istoty.

Jedno z niemieckich pism pedagogicznych, p. t. „Neue Bahnen”, podaje próbę podobnej pogadanki o jednej z płaskorzeźb greckich z podaniem jej reprodukcji.

W wypisach polskich, używanych po szkołach galicyjskich, są artykuły, omawiające dzieła sztuki.

Ogólnie budzi się tylko znajomość pewnych dziedzin, a zatem: piękno utworów literatury, zlekka śpiew, rysunek, muzyka, w ostatnich czasach nieco piękna ruchu i gestu przy gimnastyce rytmicznej, kiedy najdostępniejsze działy: architektura, malarstwo, rzeźba, mało są uwzględniane, również i ceramika.

Więcej głębi.

Naogół ludzie nie doceniają znaczenia przyjaźni.

Jest ona uczuciem pięknym, klejnotem, ale tylko w... poezji „Świętym jest na ziemi, kto umiał przyjaźń zawierać z Świętymi”, nie w życiu.

Przeciętnie nie odróżniamy nawet pojęć: kolega szkolny, znajomy, dobry znajomy, towarzysz zabaw, sąsiad, rówieśnik i przyjaciel.

„Najpotężniejszy człowiek jest ten, który stoi sam”, jednostka tak silna, że, pewna prawdy swych przekonań, czyściwości intencji, potrafi stawić czoło życiu; ale trzeba do tego siły wielkiej, fizycznej nieraz nawet krzepkości, wychodzącej nawet nad normę...

„Rodzina rzecz święta”, to wielce popularny frazes, lecz czy ostoja ta zawsze jest tak silna? Przywiązanie do najbliższych krewnych? Ale gdy go niema, jak bar-

dzo pożądanym, niezbędny jest ten „obcy”, który z serdeczną troską zapyta: „Czy ja tu nie nie mogę, boć pomóc ci pragnę, chcę czuć społem!”

Prawdziwy przyjaciel druha swego nie opuści, kiedy ten potężnieje, kiedy się rozrasta duchowo; zauważy i stara się zrozumieć każdą nową niteczkę jego tkaniny duchowej, każdziutką! To nie towarzyszy zabaw, co przybývá, kiedy dziecku zachciało się bawić w konie, młodzieńcowi w bilard, starcu w winta, a być równocześnie stan-gretem i koniem niepodobna, samemu też i grać nie można.

P. Aureli Drogoszewski w swej przepojonej serdecznym ciepłem sylwetce Orzeszkowej¹⁾ mówi o młodziutkiej p. Elizie:

„Nie ocknęła się dusza młodej kobiety, pochłoniętej zamętem błyszczącego życia wyżyn przez pierwsze parę lat pożycia małżeńskiego. Wesoło, zawrotnym pędem mknęły dni jedne po drugich... Między małżonkami panowała przykładna zgoda... lecz kiedy pojęła i ukochała ideję czynu i zapragnęła wcielić ją w życie, stało się tak, że tam, gdzie dotąd, na tle wesołego użycia panowała z pozoru zupełna harmonja, tam wobec poważnych życia zadań między dwojgiem bliskich, jak się zdawało, ludzi rozwarła się niespodziewanie przepaść”.

„La vie ça n'est jamais si bon, ni si mauvais qu'on croit”, mówi Maupassant; ośmielę się dodać: Życie nie jest ciężkie, ale trudne do przeżycia i czasem, gdy umiejętności braknie... bodajby suflerem było serce przyjaciela!

Tak często przedstawiają książki dziecinne przyjaźń między bogatym paniczem a biednym chłopcem, że rodzice, żeby... nie sprowadzić rozdzwisku między życiem a lekturą (tak, o to tylko przeważnie idzie), karzą w pociechach swoich wszelkie objawy wstrętu, lekceważenia czy pogardy w stosunku do uboższych.

Nie łudźmy się: jesteśmy jeszcze nadto arystokratycznym społeczeństwem, nawet moda na demokratyzm ogarnęła dopiero zaledwie pewną część naszej inteligencji, istota zaś jego wsiąkła w bardzo nieliczne jednostki. Najbardziej zarysowuje się to na wsi. Mali letnicy (przeważ-

¹⁾ Przedmowa do kompletnego wydania dzieł Orzeszkowej. Gebetner i Wolff, 1913 r.

nie chłopcy, bardzo rzadko dziewczynki) z konieczności samej wchodzą w styczność z dziatwą „autochtonów”. Któż inny im pokaże, za którym zakrętem najlepiej biorą kielbie, w którym krzaku gniazdo słowicze; kto powie, co jada sroka w niewoli, jak się robi pływaki z sitowia, kiedy staw spuszcza? Kto zdobędzie z końskiego ogona włosia na wędkę, wytnie kozikiem biczyisko? Na widok nawiązujących się przyjaznych stosunków między „wsią” a „miastem” starszych ogarnia chwilami niedrogię wzruszenie: jawią się przy herbacie cytaty z „Wesela” i t. p. tanie oznaki znajomości „nowych prądów”.

Lecz jakże prędko wychodzi szydło z worka. Po pewnym czasie dzieci aksamitne zaczynają operować zwrotami w rodzaju: „mać” i „psia,” lub też „krew”, wspominają o „lunięciu” w buzię. Okropność! nerwowej mamie włosy stają dęba, i jeżeli nie każe wypłukać synowi lub synom ust kolońską wodą (bo to wyszło z mody), oświadcza stanowczo, że dłużej z „takimi” dziećmi bawić się nie będą.

Młode pokolenie kapituluje, lecz brak towarzystwa, potrzeba pomocy w coraz to nowych pomysłach i wycieczkach wakacyjnych bierze górę, stosunki z młodymi „autochtonami” w sekrecie nawiązują się nanowo. Ma się rozumieć, tajemnica wychodzi na jaw, większa lub mniejsza doza admonicji spada na głowę winowajców i... stopniowo, z czasem ustanawia się modus vivendi w postaci „tolerowanych” towarzyszy, którzy chyłkiem odchodzą na widok opiekunów „panicza”, budząc go jednak nieraz np. na bardzo wczesne ekskursje, chociażby w ten sposób: mały letnik, kładąc się spać, przywiązuje sobie sznurek do nogi, drugi koniec przeciąga przez dziurę, przewierconą w drzwiach werandy. Autochton ranniem pociąga za sznurek i wiedzie mieszczucha na nigdy dotąd niewidziany przedświt, budzenie się ptactwa, przyrody całej. Aksamitne dziecko widzi ranne życie wsi, wyruszenie do pracy w pole...

Bardzo się jeszcze boimy słów, a jednak poznać należy raczej towarzysza naszych dzieci: kto on zacz? czy ma dobre serce i zacny charakter? Jeżeli nie—nie należy tolerować, lecz doprowadzić do istotnego zerwania stosunków, wyłożywszy dziecku całą brzydotę moralną da-

nego indywiduum. Trochę mniej polityki strusiej, płytkości, no i — lenistwa, czci dla formy, pozorów, więcej głębi w wychowaniu. Pozatym: brzydkie słowo w ustach dziecka, przekleństwo, wyrażenie gminne zwalczy tak łatwo język literacki, kulturalny, jakim włada całe jego otoczenie, książka; lecz brudu moralnego, gdy się rozpleni, nie wyrwiemy z duszy dziecinie-człowiekowi, a wszczepić go może i w równie modny garnitur, jak nasz pieszczoł, odziany najmiłszy stały jego towarzysz, dziecko z „porządnego” domu, nie obdartus żaden, któregośmy nie zadali sobie trudu bliżej poznać, zbadać.

Nie stojąc w obronie trywjalności, notuję obserwacje rzeczoznawców, iż chłopcy, narówni z ludami przechodzą też swój okres dzikości, kiedy biją się chętnie, hałasują, mają wprost popęd do znęcania się, tyranizują młodsze rodzeństwo. W tym to okresie dzieci półinteligencji i inteligencji, wysypawszy się po lekcjach gromadnie ze szkoły, poszturgują się, biją paskami, tornistrami, częstując przytym epitetami w guście „ty szczeniaku”, bez żadnej złośliwej intencji, ot, to słowo modne jest w szkole...

Usuając się bandzie z drogi, przed domami przystają, przechodnie i z uśmiechem pobłażliwym (szczególniej mężczyźni), z rozradowaniem spoglądają na dziecinną swawolę, wyładowującą się energję po wielogodzinnym siedzeniu na ławce, na objawy tężyzny. Stopniowo gromadka wstępniaków topnieje: na każdym rogu ktoś ubywa bez shake-hand, bez uchylenia czapki i t. p. wymysłów kultury — przecież za kilkanaście godzin znów się zejdą, aby znów „sujkami” obdzielać, „serem” częstować, aż po latach, zadumani nad losami bohaterów, przejęci poezją czynu dziejowego, spokojnie już, ujawszy się pod ręce, spacerować będą, dysputować, odbudowywać państwa, marzyć głośno o powszechnym pokoju, braterstwie...

Rozpisałam się, a chciałam tylko zwrócić uwagę wychowawców na zawierane przez dzieci znajomości, na niedocenianie ich poważnej wartości ideowej, na różnicę między wieloma rodzajami współżycia, na przyjaźń prawdziwą i jej surogaty. Starajmy się poznać młode istotki, z którymi obcuja nasze dzieci, a głębsze, poważniejsze ich uczucia otoczyć rozumnym poparciem i opieką.

Dzieci a wojna.

Dzieci, takie słabe, małe istotki i bezmiar nieszczęść, wojna — toć to potworne, straszliwe zestawienie! Jeżeli, przygnieceni ogromem cierpień, myśleć nawet spokojnie nie możemy, trwoga, obawa ciągle nas pożera, coś dopiero one, te drobne stworzenia, tylekroć węższe od nas, takie wrażliwe i... omyliliśmy się!

Dorastająca młodzież, ta na równi z nami cierpi. „Że też może być wojna, podobne barbarzyństwo w dzisiejszych czasach, tak pono kulturalnych, kiedyśmy już tak wysoko stanęli!” — była to treść rozmów każdej grupy młodzieży, którą mijalam na ulicach Warszawy w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku. Ale mniejsze pociechy, szczególnie chłopcy około lat 10-ciu, nie oburzają się w zasadzie na wojnę, nie dziwią się, że starsi „się biją”, kiedy oni sami tak to lubią!

Małe, te często bijane, rozumują jeszcze inaczej. 4-letni Zbych w jeden z dni bombardowania Warszawy siedzi w oknie na placu Witkowskiego z 6-letnią Zochną. Dziewczynka, przerażona błyskami na niebie, ciągłym brzęczeniem szyb, martwi się wojną, boi się. Mówi o tym braciszkowi. On ją uspokaja, mówiąc z głębokim przekonaniem: „Nie bój się, to nie nas będą bili, my grzeczne!”

Półroczna Kryśia spać już chwilami nie może. Kramiec to Warszawy prawie, od strony walki. Szyby tak brzęczą, jakby już wypaść miały, drży wszystko — płacze więc, krzyczy. I takie malusie bobo już cierpi! Słyszałam o wypadku w Radomiu, gdzie noworodek, bezpośrednio po zjawieniu się na świat, musiał być ewakuowany do piwnicy. Pod Opolem niemowlę ssalo matkę już nieżywą... Dzieci cierpią w miejscach, objętych pożarem wojny, męki bólu, głód, chłód, strach przeraźliwy, i to nie na placu boju. Znajomy mały chłopaczek w Warszawie całował wszystkich po rękach, tak prosił o mleczko, którego cały szereg dni zdobyć rodzice nie mogli. Wracając z zagranicy, 4-letni syn bogacza znów zlizuje z rączek własnych kropelki mleka: taką mu skąpą wydzielono porcyjkę.

10-letnia dziewczynka stoi przed wystawą mleczarni i z zachwytem i pożądaniem wpatruje się w butelki z mlekiem!

Tak, dużo dzieci wiele cierpiało i cierpi społem z rodzicami, lecz wojna nie wytworzyła bynajmniej w ich głowach rozpaczliwego chaosu, nie zburzyła jakichś podstawowych danych, pobudziła je raczej do głębszego myślenia, wpływa dodatnio na rozwój umysłowy.

7-letni Bolo, zamknięty z babcią w celi więzienia, duszyczka nie rozbudzona jeszcze, bawi się nowością sytuacji: ogląda szczotki do czyszczenia lampy, szorowania podłogi, czyszczenia ubrania, butów, elegancki emalowany kubek, naczynia do jadła i t. p.

Smakuje mu nawet, jemu jednemu, nigdy niepijana w domu kawa czarna. Obojętne mu, że łóżko zasłane nie pościelą, spoczywa na tłumoku z brudną bielizną, okryty pledem, babciunia jest przy nim, zasypia spokojnie.

Lecz w sąsiedniej celi 9-letniej siostrzyczki jego, Kasi, mama parę godzin uspokoić nie może. Dziewczynka, w poczuciu swej niewinności, buntuje się: „Przecież więzienie, mamusiu, nie dla takich, jak my, ludzi — dla złodziei, dla zbrodniarzy”. Oczytana już nieco w historycznej literaturze dziecinnej, pamięta o wieloletnim jęczeniu w więzach niewinnych księżniczek, a i bajki mówią to samo; długo w noc szepce, przytulona do mamy, wreszcie wyczerpanie bierze górę i sen dobroczynny każe zapomnieć o buntach i żalach...

Nazajutrz ją wypuszczą. Przez Kaisebrück, Wieruszowo, Sieradz, Pabjanice, Łódź, pieszo, wozem, bryczką, łódką, koleją dotrze do Warszawy, a po drodze taki szmat kraju zobaczy! Taka pyszna lekcja krajoznawstwa. Pozna różne sposoby lokomocji, małe niemieckie miasto i przeciwstawienie jego — polskie. Nigdy łódką nie jeździła, a tu inaczej na drugi brzeg dostać się nie można było. Aneczka wraca z Ciechocinka; taki też duży kawał ziemi wozem przejechać musiała, nie koleją, jak w tamtą stronę.

Dzieci narówni z rodzicami śledzą na mapie ruchy wojsk, stopniową dewastację terenu wojny. Tyle wia-

domości z geografji politycznej, z rozmów i gazet wślizguje się do głowy: nazwy i położenie fortec, miast, rzek, jezior i ich dopływów... Zrozumieją, czym są mocne klamry, spinające kontynenty: Gibraltar, Suez, Dardanele, któredy mądry Anglik czy Turek nikogo przeciw swej woli nie puści...

A przedewszystkiem zdobywają dzieci nasze takie mnóstwo wiadomości z ekonomji politycznej, nauk społecznych!

Gospodarka państwowa toż to przedmiot nie dla dziecka, zdawało się zawsze, a teraz poglądowe codzienne lekcje ileż danych wraziło w młodociane głowy i myśleć tak wiele na owe tematy kazało!

Ucząc o zbiorze herbaty w Chinach, plantacjach bawełny w Ameryce, połowie wielorybów, gąbek czy koralu, zapalamy się tak do tych egzotycznych tematów, że na myśl nawet nam nie przychodzi zwrócić uwagę dziecku, że mleko z bliskich okolic dostaje się do miasta na plecach włościan lub końmi, z dalszych — urządzona jest stała dostawa koleją w umyślnych naczyniach. Nie podkreślaliśmy w zwykłych warunkach, że piękne, bogate, wspaniałe miasto bez produktów, dostarczanych mu przez wieś, istnieć nie może; dziś mają dzieci nasze codzienne wspaniałe, wzorowe lekcje poglądowe na ten temat. Od nas tylko zależy, żebyśmy odpowiednimi objaśnieniami powiększali odnoszoną z nich korzyść.

Młódź zdobywa dziś wiadomości o gospodarce państwowej w odwrotnym porządku: nie jak coraz bardziej i bardziej komplikują się, udoskonalają urządzenia społeczne, lecz jak stopniową ich destrukcją dochodzi się do stanu opłakanego: wojsko, amunicja i ranni zajęli koleje, cywilni już jeździć nie mogą, wreszcie zbyt mało przywożą nam z innych stron produktów, zaczynamy odczuwać dotkliwy ich brak.

Pyszałek Jaś, któremu się wydaje, iż z innej zupełnie jest gliny, niż biedni chłopcy, dowodnie teraz rozumie, jak wszyscy wobec nieszczęścia są równi i że tysiące tatusia na wiele rzeczy poradzić nie mogą: musiał cierpieć głód, chłód i nędzę, narówni z innymi.

Pedantyczni nauczyciele wprost nie doceniają tego, że prócz nauki systematycznej, mamy jeszcze drugie źródło: objaśnienia przygodne.

Uczeń na lekcji geografii zaczął racjonalnie od kreślenia planu klasy, przechodzi do zagrody, wioski, kraju i t. d. i t. p.; rozszerza mu się widnokrąg, wreszcie obejmuje umysłem świat cały, ale my teraz, podczas wojny, tego końca czekać nie możemy. Nie obznajmionego z atlasem prowadzimy w wolnej chwili do mapy, pokazujemy mu na pierwszy już ogień ogrom Niemiec, a maleńkość Belgji. Stosunkowa wielkość tych dwu-barwnych plam odrazu wbija się w głowinę nawet 7-mioletnią.

Turcy rozpoczęli kroki wojenne; wskazujemy położenie Turcji na mapie Europy. A Hindusi gdzie? — taki świat drogi przebyli.

7-letnia Rysia wracała z Krantz przez Sassnitz, Trelleborg, Sztokholm. Czyż jej nie zapoznać z tej racji pierwszy raz w życiu z mapą? Choćby najleniwsza była, drogę przejechaną z ciekawością obejrzy i zapamięta znaczenie kółeczek — miast, czarnych węzowatych rzek i prostych linijek — kolei, jasno-błękitną barwę morza. A ten Bałtyk taki do klęczącej kobiety podobny. (Lato spędzała w jej kolanach w Krantz), w Petersburgu, w koniuszczku złożonych rąk, takie ich miłe spotkało od kolonji polskiej przyjęcie! Te żyłki-rzeczki, na mapie z ciemno-bronзовych plam-gór spływające, widziała tak dobrze w podróży, dni kilkanaście trwającej, co, jak sen jaki, jak obraz z „kinematografu”, czy latarni czarnoksiężkiej bytuje w jej pamięci. Czyż można nie wyzyskać tej sposobności?

Z taką dumą zwykliśmy mawiać o dziełach rąk ludzkich: telefonach, kolejach, telegrafach, mostach wspaniałych. Jakaż dziś pyszna okazja do zestawienia w umyśle dziecka potęgi sił przyrody, z trudem dającej się ujarzmić, z małością dzieł tych ludzkich: wody, rzeki—przeszkoda olbrzymia, a linję kolejową, most, zepsuć tak łatwo, tak bardzo łatwo.

A ileż znajdzie się sposobności do wyjaśnienia znaczenia i wyższości granic naturalnych nad sztucznymi! Tylko parę słów dodać objaśnienia w odpowiedniej chwili,

wskazać coś na mapie, a korzystać, z chwili bieżącej wyniesiona, wielokrotnie zostaje jeszcze pomnożona, pojedyncze zjawiska tej wojny uogólnione. I rodzice, i szkoła materjał chwili wyzyskać powinni!

.

Wojna odbiła się na zabawach dzieci. W pierwszych tygodniach sierpnia spotykam na ulicy chłopca lat około 10-ciu z opaską sanitarną na ramieniu, wspaniale z papieru imitowaną. „Kto ci to namalował?” — pyta go kolega, a zagadnięty oznajmia, że pójdzie na sanitariusza. Starszy robi mu uwagę, że nie wezmą go, bo za mały. 4-letni Edzio, syn kowala, wybiera się na wojnę. Na uwagę matki, że tak ją opuszcza, odpowiada: „Ja tu z podwodą wpadnę”. Ma zamiar zrobić kuchnię polową, a kiedy mamusia miała wciąż trudności o prowiant, obiecywał, że zaraz zbuduje jej szopę na dużo, dużo zapasów. Przewraca się, jest zabity, jest „lanny”, „trzy” oczy mu wyjęli.

Siedmiolatek Bolo sledzi na lekcji z drewnianym, przez siebie wystruganym, kindżalem za pasem; 4-letni Jaś włóczy za sobą całymi dniami szablę, tej, co i on, wielkości; Kazio i Tadzio, już uczniacy, pełne pudła mają wycinanych, nalepianych na tekturkach żołnierzy i całymi godzinami prowadzą nimi batalje...

.

Tak się bawią, myślą, czują, rozumują dzieci, którym nikt z najdroższych nie poszedł na wojnę, nie zginął... O tych innych mówić nie będę — zbyt to straszne, tragiczne!

D z i e c i b e z d o m n e .

Ot, wylizana czarna głowa 16-letniej dziewczuchy, szerokiej, tęgiej. Tyle już minęło tygodni naszej znajomości, a nie zeszło jej jeszcze z twarzy pytanie podejrzliwe: Dlaczego właściwie państwo tak koniecznie chcą tyle rzeczy zrobić dobrych dla mnie? Co mają w tym? Jaki interes?”

Smutne reminiscencje pańszczyzny...

Dwaj bracia. Szczupli, smukli, o światłych włosach. Powolni, jasne oczy, przykładni. Piszą, jak litografja. Żądni wiedzy, wszystko robią z powagą, dokładnie. Byli w dobrej szkole. W oczach tai się im stały, dziwny uśmieszek, nie twarz uśmiechnięta, lecz subtelnie oczy. Jakoś mądrze, krytycznie, zlekka sceptycznie. Spokojnie, z powagą obserwują życie. Mina dorosłego już chłopca (lat 11 i 12), typ często również spotykany u nas...

Dzieci zepsutych z gruntu, wyuzdanych twarzy miejskiego proletariatu niema, niema typów, wobec których ręce opadają... z obrzydzenia.

Przeważają prawdziwe dzieci: brzydkie, prostackie twarze o niekształtnych rysach i delikatne bieluszkie młeczne cery, jasnowłose, o subtelnych noskach, zarysie ust, to znów w całej twarzy tylko oczy mądre, rozumne, oczy, rozpalone jakimś światłem czy ogniem wewnętrznym, oczy uśpione, zlekka się budzące pod wpływem wiedzy, jak w każdej wielkiej gromadzie, różni ludzie...

Bajecznie kolorowa Łowiczanka przy zapisie, do nóg się chyląc, po rękach całując, nadmienia: ubranie będzie miał miejskie, kupi napewno. Trzeba ją uspokoić, że właśnie szanujemy bardzo i poważamy tych, co z ojców szatą tak lekko się nie rozstają... księżackiego, barwnego niech nie porzuca!

Na wycieczce dowiedziałam się o antagonizmie między chodzącymi w czapeczkach (było to zimą) a w chusteczkach — prawdziwe przyszłe kobiety.

„Bardzo też podkreślają różność mowy: „Idziewa”, „dajta”, „mo” jest bardzo krytykowane przez 1/2 inteligenta.

Zdawałoby się, że temu, komu nad głową pękały szrapnele, kto jest „uciekinierzem”, jak oni mówią, sensacja raz na zawsze obrzydła; tymczasem szalony entuzjizm wzbudziły w nich pogadanki o wulkanach i trzęsieniu ziemi. U Brzezińskiego między innymi taki efektowny rysunek: ziemia pęka wielką szparą, ludzie w nią wpadają, jak gruszki. Ale już niebywałą sensację wywołała opowieść, jak to dawniej pisano. „Głupi ludzie rysowali takie malunki na korze, nie znali elementarza nawet”. Najslabiej czytający chłopcy śmiali się właśnie najwięcej, na całutki głos, a był to śmiech dumy, uznania wyższości własnej, przepaści bezdennej, dzielącej

mieszkańca ciemnej i ubożuchnej wioseczki polskiej, piszącego: „chodzą”, „curusa”, przenoszącego „kartk-i”, „pt-ak”, od jakiegoś tam Egipcjanina z epoki pierwotniejszych hieroglifów.

„Ludzie przedhistoryczni mieszkali na drzewach, wojowali kamieniami, kośćmi i ośćmi” — oburza się młodzian, raz w tydzień gruntowniej się myjący.

Na pogadance mamy ciekawą przeszkodę. Chcąc podziałać i na pamięć wzrokową, notuję nowe terminy na tablicy, cóż, kiedy po chwili okazuje się, że partja anal-fabetów, która u nas dopiero zaznała rozkoszy badania kijków z brzuszkiem z jednej i z drugiej strony naprzemian, zaopatrzona po kieszeniach stale w różne karteczki i ogryzki ołówków, skwapliwie przerysowuje: „krater”, „infuła” czy „wiec”, co pochłania ich uwagę; bezołówkowi zaś składają dźwięki w słowa zawzięcie półgłosem i — uwaga pryska... Chcąc ratować zagrożoną sytuację, co rychlej ściierać trzeba...

Czy Lenartowicz był istotnie „lirnikiem mazowieckim”, rozstrzygnęłaby tę wątpliwość jedna bytność w szkółce, kiedyśmy na warsztacie mieli „Jagodę”, „Sierotę”. Każde słoweczko takie proste, takie zrozumiałe, a takie to piękne, melodyjne! Dzieci wiejskie pod urokiem prawdziwej poezji, sztuki, nie wymagającej komentarzy, bezpośredniego działania piękna... Do Burka wołają: myszy, myszy, a on kopie ziemię. Pawłowa krówka i dziewczynka zarosła się do pasa... ptaszki śpiewają w lesie... Uśmiechy, dźwięki zachwytu, roziskrzone oczy, widoczne odczucie, zrozumienie...

Wielkie też poruszenie wywołała lekcja o stronach świata. „Pomyśl, żeś we wsi swojej”. „Z której strony od waszej chałupy słońce wschodzi?” „Co masz od wschodu?” „Ja Brzozową, ja folwark giżycki, a ja wieś Giżyce, Humin”. Rysujemy punkty na tablicy. Wiele dzieci pochodzi z tej samej wsi, to z jednego końca, to z drugiego, inaczej im więc wypada — stąd spory, poprawki...

Pojęcie ojczyzny, wyciągnięte z poczucia intensywnej tęsknoty do chaty opuszczonej, takie było łatwe do wrażenia dla gromadki, złożonej z samych „uciekiniery”; przyznam się, łzy mię dusiły. Potrafią postawić się w po-

łożeniu Eskima, konającego z żalu za wiecznie białymi śniegami, Araba, spragnionego spalonej słońcem pustyni...

Bardzo je interesuje telefon. Jak tylko w kancelarii dzwonek się rozlegnie, pewna gromadka pędzi za mną, deptać po nogach kolegów i koleżanki. Jak tylko mogę, telefonicznie rozmawiam z nimi z domu. Niektóre, ma się rozumieć, ciskają tubkę, drażni je dziwny głos, nie mogą się opanować.

Mapa „Europy Środkowej” na pauzie oblegana. „Gdzie Przemyśl?” „Mój tata był we Lwowie i mówił, że tam takie bystre rzeki, że co postawią most, to woda zerwie”. Stale pukali w Skierniewice, Łowicz. Cóż, kiedy Sochaczewa i Rawki nie było. Bzurę oglądano z zajęciem.

Koedukacja, ale... chłopcy tak jakoś trzymają się razem przy jednym stole, dziewczęta przy drugim. Najmniejszym nieśmiałym chłopczykom lepiej coś u dziewczynek, przygarnęli się do końca ich stołu. Najbardziej posunięte w naukach jednostki obu płci trzymają się razem.

Czystość i ochędóstwo! Najgorsza rzecz ręce. Zegary furda! Nie każdy ma go w domu, czeka się na nadejście „pani” przed domem na ulicy, a tu pyszna na słońcu gra w moniaki dla zabicia czasu; to też nieraz bywa, że odzienie dolne gubią najzapaleńsi gracze. Jest jeszcze gra w papierki. Panują i mody: obecnie na odbijanie kalkomonji na książce, gra w zielone, przynoszą kwiatki w garści. Od czasu do czasu konfiskuje się „gwizdki”.

Kto pierwszy wpadnie do szkoły, ten otwiera okna. Działo się to i w mrozy dosyć duże. Może też dzieci nabytek ten przeniosą do chaty naszej, wpuszczą świeży, ożywczy prąd powietrza... Niektóre dziewczuszki to istne porządnickie! Same chwytają szczotkę, zamiatają, wycierają podłogę. A może, stęsknione do własnej chaty, w życiu gromadnym, choć w „swojej” szkole pragną utrzymać porządek.

Pod wpływem miasta dziewczynki zmieniają uczesanie głowy. Jedna drugiej nad uszami kukiełki stwarza.

Wiedzy przybywa, ale natłok wywołał zjawienie się króla „Mickiewicza II” i inne dziwy...

W czwartek kąpiel. Lubią to niezmiernie. „W miastach dużo towaru się gromadzi”, mówię na pogadance. „O tak, na halach”. „Jakie znacie ulice?”, pytam w pierwszych dniach. „Pociejów”, brzmiała śmielsza odpowiedź. Kapitał wiedzy się gromadzi, uzewnętrznianie nagromadzonych zapasów jest już trudniejsze. Coś w trzecim miesiącu przybywa więcej amatorów do opowiadania. Czasem na pogadance słyszę: „Kowal”. „o, Kowal!” Domyślam się, chce opowiedzieć, czy odpowiadać. Bystro zwracam się w tę stronę. Kowala buzi nie widzę, tylko nisko, nisko pochyloną główkę. Zawstydził się już własnej śmiałości, przeląkł i nie powie ani słówka... Inny znów typ: powodowana ambicją dorównania innym, dziewczynka wstaje i... okazuje się, przy całej usilnej mojej pomocy... nie ma nic do powiedzenia.

Kiedy się robi zamieszanie? Kiedy dzieci nie mają nic do roboty. Kto najwięcej sprawia kłopotu? Nie „złe” dzieci, ale ruchliwe, t. j. indywidua, których energii, wydławującej się w postaci „kopsania” nogą, bawienia się papierkami, nie może opanować chęć ujrzenia, posłyszenia czegoś ciekawego. Powinniśmy my, nauczyciele, tę ruchliwość, jej genezę, istotę, zbadać gruntowniej, niż dotąd. Dzieci te, puszczane w ruch, w chwili, kiedy rozdają kajety, ustawiają krzesła, przynoszą i odnoszą różne drobne przedmioty, załatwiają polecenia, komenderują towarzyszami, wydatkując energję w owym, im właściwym kierunku, miny mają spokojne, wyglądają całkiem inteligentnie, gdy tymczasem unieruchomione w ławkach chwilami robią wrażenie dzikich zwierzątek w klatkach.

B e z s t e r u .

Przed kilku laty na posiedzeniach Wydziału Wychowawczego Towarzystwa Higienicznego zajmowano się kwestją przeciążenia szkolnego. Ale, zaprawdę, niceśmy jeszcze w tym kierunku nie uczynili, wyjąwszy rekreacje od południa w środku tygodnia w niektórych zakładach naukowych. Dotychczasowe, teoretyczne roztrząsania w stowarzyszeniach nauczycielskich i po pismach to tylko pobożne westchnienia; przeciążenie zostało przeciążeniem.

Po zwykłej pracy szkolnej, w domu nie parę, ale kilka jeszcze godzin pracy. A przecież praca ta musi być zredukowana, bo przechodzi siłę zwykłego organizmu.

Źle jest przygotowana do życia, odcięta stale od świata realnego pensjonarka, lecz niewiele lepsze warunki ma i przychodnia uczennica: całutki tydzień, nie wyłączając lwiej części dni świątecznych, spędza przy nauce. Naokół życie wre: ludzie bawią się, pracują inaczej niż ona, żyją w innych też warunkach, niż jej rodzina, ona tego nie widzi, pochłonięta nauką. Ktoś z krewnych zachorował, wypadek jakiś ważniejszy zaszedł u znajomych, jakaś uroczystość, obchód epokowy, sprawunek, jej w tym wszystkim brać udziału nie wolno, nie ma czasu, bo uczy się. I żyje lata całe życiem sztucznym, papierowym, nie-realnym tylko, a później, opuściwszy szkołę, rozбивa się o takie zwykłe, najzwyklejsze zapory życiowe. Pochłonięta życiem szkolnym i książkowym wyłącznie, idąc np. z matką ulicą, wtajemniczać ją będzie w losy bohaterów przeczytanych powieści, podróży. Taki śmieszny typ, niestety, tak często spotykany między dziewczętami.

Nieliczne tylko jednostki, mające w sobie wrodzoną ciekawość życia i jego przejawów, dalej wyjątkowo zdolne głowy uporać się prędko z domowymi lekcjami i chwytają, ile mogą, echa prawdziwego, pozaszkolnego życia; ale większość pada ofiarą wadliwego systemu, degeneruje się, wykoszlawia, wyrasta na półludzi zaledwie.

Lecz silniejsze, efektowniejsze, rezolutniejsze, krzykliwe, swobodne, niczym nie dające się nieraz onieśmielić jednostki wiedzą rej w szkole, w domu; w towarzystwie robią tyle hałasu, że zagłuszają wielokroć liczniejszy szary tłum klasy i wielu, po nich tylko sądząc, nabiera bardzo nieścisłego wyobrażenia o szkole dzisiejszej. Nauczyciele, przy całym dążeniu do postępu, nie zmniejszają swoich wymagań od uczniów, bo czynnik najbardziej w tym zainteresowany (poza samą nieszczęśliwą młodzieżą), naturalni opiekunowie, rodzice, godzą się z istniejącym porządkiem rzeczy, nie oddziałują na szkołę, nie reagują przeciwko przeciążeniu, bo... uważają je za stan naturalny.

W określonej ilości lat trzeba „przejsć” pewien uświęcony kurs, „skończyć wykształcenie”. No i... mają „skoń-

czoną", chorą na blednicę córkę, przyszłą neurastenicką, histeryczkę... „Biedactwo, tak ciężko pracujesz!", mówi mama do 7-klasistki „ale czekaj, za parę miesięcy już koniec z nauką. Książki w ką! Najpierw na rok do babci do Sokółki na odpoczynek, po rumieńce. Wyleczysz się z blednicy, a potem panienka wstępuje w świat! Pomysł tylko: obrzydła algebra, geografia — w ką na zawsze!"

Wiadomości, zdobyte w szkole, zdaniem wielu jeszcze, to zapas, złożony w pewnej obszernej spiżarni, który powinien starczyć na życie całe, to zapas przytym, do którego nigdy już nic się nie dołoży. Uroczystości, towarzyszące ukończeniu zakładu naukowego, zamiast być wyłącznie pożegnaniem nauczycieli i uczennic, ludzi, rozstających się po dłuższej wspólnej pracy, zbytnio też podkreślają tę „skończoność". „Skończony młodzieniec", „skończona panna", to liczmany, mające jeszcze stały obieg, odnośnie do abiturjentów szkół średnich.

Zadaniem szkoły ¹⁾, jako wszelkiego rodzaju instytucji, urzędzeń i działań, zmierzających planowo do kształcenia jednostki ludzkiej, a więc zarówno szkoły w znaczeniu ściślejszym, jak urzędzeń kształcenia pozaszkolnego i samokształcenia, jest przygotowanie i utrwalenie pewnej liczby elementów, wchodzących w skład przyszłych zadań życiowych, jakie w danych warunkach czekają jednostkę, oraz wyćwiczenie czynności umysłowych, które skuteczne wykonywanie zadań tych warunkują. Ponieważ niemożliwym jest przewidzenie i założenie wszystkich elementów, jakie dla przyszłych zadań życiowych mogą się okazać niezbędnymi, tym ważniejszym jest rozwinięcie i wyćwiczenie umysłowej siły człowieka, dzięki czemu mógłby w przyszłości łatwiej, samodzielniej przystosowywać się do nowych zadań i douczać się tego, czego niepodobna było naprzód go nauczyć".

Zwracając wszystkie wysiłki ku realizowaniu pierwszego zadania szkoły, zbyt mały kładzie się nacisk na drugie. Pedagogowie, zamiast zamięczać zbyt wielką, aż do niestrawności, ilością pokarmu umysłowego, doraźnie wtłaczanego, nie starają się w dostatecznej mierze wszcze-

1) „Inteligencja, wola i zdolność do pracy". J. Wł. Dawid, str. 349.

pić w uczni przekonania, że szkoła to pierwsze dopiero ogniwo, po którym powinny nastąpić dalsze, że z chwilą ukończenia szkoły nie „kończy się” w życiu nic, ale następuje najzwyczajniejszy dalszy ciąg: uczenie się aż do śmierci. Nie „wchodzi się w życie”, bo nie powinno się z niego „wychodzić” na okres szkolny. Nauczyciele nie usiłują zachęcić, wskazać źródeł do dalszych, samodzielnych już studjów, ułatwić ich, ucząc, jak przystąpić do działów wiedzy, bezpośrednio i logicznie wypływających i wiążących się z nauką szkolną. Dziś niejeden i niejedna po opuszczeniu szkoły, stanawszy bezradnie bez przewodnika, rezygnuje z dalszej nauki lub bierze się do niej wielce niedołąźnie, tracąc zbyt wiele energii i czasu.

Moim zdaniem, nauczyciele powinni przede wszystkim doprowadzić kurs swój do chwili bieżącej, do końca, skracając go w tym celu, opuszczając mniej ważne szczegóły. Dziś niejedna dorosła dziewczyna nie bierze do ręki poważnej książki z dziedziny literatury bieżącej: krytyki, przeglądu, monografji, bo czuje za sobą całą otchłań niezbrodzoną od Krasińskiego np., na którą zaciętrzewiony w szczegółach i szczegółikach nauczyciel nie rzucił jej nawet promyka światła, gdy tymczasem utworom romantycznym poświęcono tyle analiz subtelnych, tyle ćwiczeń, misternie obmyślanych.

Dziewczyna boi się polityki, tych najzwyczajniejszych telegramów, bo mówią o jakiejś „skupczynie”, „kwestji rusińskiej” w Galicji, „trójprzymierzu”, „trójporozumieniu”, a one w klasie na Wiośnie Ludów stanęły, o której tyle, tyle im z entuzjazmem p. profesor prawili;

Dalej, nauczyciele powinni omawiać kwestje bieżące. Ot, choćby tak: Amundsen zjeżdża do nas za 2 tygodnie z odczytem — w klasie musi geograf potracić jego podróż do bieguna południowego. Sądź, cudnie ozdobiony świat, drzewiny w bieli — to takie rzadkie zjawisko: dlaczego zima u nas taka lub owaka, niech wytłumaczy przyrodnik. Znalezienie korony łokietkowej omówi w klasie historyk. Na to czas znaleźć trzeba, pozyskany na pominięciu zbytecznych drobiazgów i drobiażdżków kursu.

Przeciążenie w ostatnich czasach powiększyła istna manja zadawania ćwiczeń stylowych przez wszystkich nauczycieli, nie wyłączając prefekta, botanika, geografa

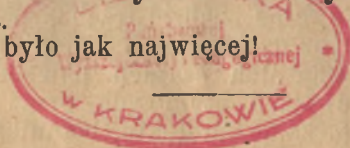
i lektura domowa, którą w bardzo dużej dozie wyznacza w szczególności każdy nauczyciel, prócz matematyka. Uczennica je obiad, czytając „Podstolego” w całości, podczas ubierania matka doczytuje jej „Sakuntalę”, czy „Ramajanę”, nie może wyjść na spacer, bo „Żywotu poczciwego człowieka” zostało jej parę dziesiątków kartek. A „Wrażliwość roślin” jeszcze dla botanika, „Jagiello i Jadwiga” dla historyka, „Cyd”, „Werther” w oryginale lub przekładzie i t. d., i t. p.

Z dawnej niedorzeczności zakuwania głowy młodzieży niezliczonymi rozbiorami dzieł, przez nią nie czytanych, wpadliśmy w drugą ostateczność: żąda się od ucznia przeczytania, no i chyba zrozumienia, przetrawienia, zapamiętania takiej ilości dzieł, jaką, pracując normalnie, człowiek opanować może należycie do trzydziestego roku życia.

Moim zdaniem, nauczyciel, przechodząc kwestję za kwestją, okres za okresem, autora za autorem, winien, w miarę rozwijania się kursu, podawać koniecznie bibliografię przedmiotu, ale uczeń przeczyta te cenne dzieła nie natychmiast. Obowiązkiem jest nauczyciela tak uczyć, żeby wychowanek po ukończeniu zakładu naukowego nie rzucił książek z obrzydzeniem, lecz, dzięki licznym wskazówkom i notatkom pedagoga-specjalisty, któremu ufa, którego kocha i szanuje, przeszedł ze szkoły do samouctwa bezpośrednio. A wtedy, stopniowo okrzepłszy już umysłowo, będzie umiał znaleźć sobie przewodników w wytrawnych krytykach, wskazówkach prasy.

Któż lepiej, prócz najbliższego otoczenia, zna młodą dziewczynę, jej charakter, usposobienie, zdolności nad wychowawczynię, przełożoną, nauczycieli? Rok rocznie z tyloma młodymi mając do czynienia, w rozmowach swych niech nie szczędzą wskazówek co do wyboru zawodu, zajęcia, pracy zarobkowej. Wiem, że po niektórych zakładach naukowych niektórzy nauczyciele i nauczycielki realizują najśmielsze moje dezyderaty w tej materji, lecz liczba tych szkół i tych nauczycieli jest bardzo mała.

Oby ich było jak najwięcej!



T R E Ś Ć.

Braki i luki w kształceniu przedszkolnym	3
Dziecko na przechadzce	8
Droga do poznania	12
Dzieci miejskie a wiejskie	15
Rozszerzanie widnokregu i szkoła życia	22
Dzieci i zbiory	27
Posiew społeczny	30
Miłość ojczyzny a znajomość dziejów i kraju	32
Kształcenie przez czynności	36
Nenia (Próba charakterystyki dwuletniego dziecka)	39
Mali czytelnicy	49
Dzieci i listy	55
Straceńcy	57
Kształcenie wrażliwości estetycznej.	60
Więcej głębi! (Przyjaźnie i znajomości dziecinne).	66
Dzieci a wojna	70
Dzieci bezdomne	74
Bez steru	78

SZKOLNICTWO. WYCHOWANIE.

	Mk.
Chrzanowski I. Wielka reforma szkolna Konarskiego.	— 25
Contou E. Szkoły nowego typu. Spolszczył i uzupełnił J. Modzelewski.	1 —
Kopczyński St. Dr. Higjena i szkoła.	— 50
Krzemiński St. Komisja edukacyjna.	— 65
Matthias A. Dr. Pedagogika praktyczna dla wyższych klas średnich zakładów naukowych. Spolszczył A. Krasnowolski.	3 75
Męczkowska T. Szkoły mieszane (Koedukacja).	— 40
Rogowski Wł. Dr. i Radliński T. Szkoła narodowa. 1. O wychowaniu narodowem. 2. Szkoła narodowa.	— 75
Wabner J. Nauczycielstwo i pedagogja.	— 50
Wakar Wł. Oświata publiczna w Królestwie Polskiem (1905—1915): 1. Polskie szkoły handlowe. 2. Oświata urzędowa.	3 25
Foerster W. Fr. Nauka życia. Książka dla rodziców, wychowawców i nauczycieli, tłómacz. M. Buyno-Arctowa.	— 90
— Nauka życia w przykładach. Pogadanki kształcące charakter dzieci i młodzieży. Cz. I. Samodzielność. Panowanie nad sobą.	— 90
— — Cz. II. Miłość względem obcych. Odpowiedzialność. O ratowaniu bliźnich.	— 75
— — Cz. III. Potęga drobnoustrojów. Uwolnić od złego uroku. Pokora. Rodzice i dzieci.	— 50
— Nauka życia. Książka dla rodziców i wychowawców. Cztery powyższe tomiki w jednym tomie.	2 50
Gould F J. Pogadanki moralne dla dzieci. Z angielskiego przełożyła I. Moszczeńska:	
Serja I. Panowanie nad sobą. Pocucie godności.	1 —
Serja II. Samopomoc. Prawda i rzetelność.	1 —
Wydzga M. Krótki zarys początkowego nauczania. Wskazówki dla uczących na wsi i w mieście. 1.25, w opr.	1 65

NAUCZANIE ANALFABETÓW DOROSŁYCH.

Gąsiorowska N. Dr. Historia Polski w nauczaniu analfabetów dorosłych. Uwagi metodyczne. — Rozkład materiału. — Wskazówki bibliograficzne	— 75
Leszczyńska St. Nauczanie arytmetyki dorosłych analfabetów. Program i wskazówki metodyczne. Wyd. II, popr. i powiększone.	— 75
Weychert-Szymanowska Wł. Nauka czytania i pisanja z analfabetami dorosłymi. Program i wskazówki.	— 75



782.



UP - Kraków BG



1050154597

